

C29/1938/9.8

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

O R G A N
TOWARZYSTWA
KRZEWIENIA
POPRAWNOŚCI
I KULTURY
J Ę Z Y K A

N_R 8

WARSZAWA

KWIECIEŃ

R. 1938-39

T R E Ś Ć N U M E R U:

I. ARTYKUŁY:

1. Siła nurtu swojskiego w języku polskim — W. Doroszewskiego.
2. Czynniki społeczny w języku — H. Friedricha.
3. Funkcje zdaniowe wołacza — J. Tokarskiego.
4. O formach ekspresywnych typu *kacanapa*, *sobielizant* i *Żepycha* — J. Żebrowskiego.

II. ROZTRZĄSANIA:

1. Uwagi o nazwach osobowych — E. Klicha.
2. Parę uwag o mazurzeniu — H. Konecznej.
3. Jeszcze o »etymologii ludowej« — J. Ż. i H. F.
4. O rymach kobickich — Jerzego Żebrowskiego.

III. OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W. D.

IV. CO PISZĄ O JĘZYKU? — W. G.

NAKŁADEM ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POL.

REDAKCJA: WARSZAWA, UL. MORSZYŃSKA 43.

ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 4.

TELEF.: Redakcji 669-70, Administracji 269-49. GODZINY BIUROWE: Administr. 8 — 15.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata roczna wraz ze składką członkowską do T-wa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka zł 8.—
za granicą zł 10.—
Bez składki członkowskiej zł 5.— i 7.—
Prenumerata dla członków Związku Nauczycielstwa Polskiego . . . zł 4.—
Prenumeratę nadsyłać należy do Związku Nauczycielstwa Polskiego,
ul. Smulikowskiego 4. Konto P. K. O. 6880.

KAŻDY CZŁONEK ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO MOŻE OTRZYMAĆ
„PORADNIK JĘZYKOWY” BEZPŁATNIE JAKO DODATEK DO „GŁOSU NAUCZYCIELSKIEGO”.

Zarząd T-stwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka — Morszyńska 43. P. K. O. 24900
Poradnia Językowa, biblioteka Towarzystwa oraz dostawa dawnych roczników „Poradnika”
Smulikowskiego 4.

Wychodzi co miesiąc, prócz miesięcy letnich.



PORADNIK JĘZYKOWY

(założony w r. 1901 przez ROMANA ZAWILŁY-SKIEGO)

ORGAN TOWARZYSTWA KRZEWIENIA POPRAWNOŚCI I KULTURY JĘZYKA

„Poradnik Językowy” zalecony został przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dla szkół wszelkich typów rozporządzeniem Nr II — 9864/32, ogłoszonym w Nrze 9 Dziennika Urzędowego Min. z r. 1932.

SILA NURTU SWOJSKIEGO W JĘZYKU POLSKIM

Jedną ze spraw najczęściej wywołujących odruchy niepokoju u osób dbałych o język jest sprawa naszego ulegania w mowie wpływom obcym. Wszystkim wiadomo, że język polski na wpływy obce był zawsze podatny, że począwszy od wczesnego średniowiecza wpływy te wdzierały się na jego grunt wielkimi, zaborczymi falami. Niektórzy historycy języka stwierdzali nawet, że w okresie między rokiem 1250 a 1500 słownictwo polskie uległo prawie całkowitej „deslawizacji”, czyli że prawie przestawało być słowiańskim. A jednak mimo to wszystko, każdy obcy zalew z czasem mijał, wspomnienia po nim pozostawały głównie na stronicach słowników, w których każdy z łatwością znajdzie całe mnóstwo wyrazów w języku ogółu dziś nie używanych: przewinęły się one kiedyś przez życie polskie, ten i ów słownikarz zdążył je zanotować, ale nie puszczały głębszych korzeni w glebie polskiej, nie wchodziły na stałe w skład językowego dziedzictwa narodu. Można stąd wysnuć wniosek, że nie jest tak źle, jakby się zdawało — że język polski wykazuje w ciągu wieków swej historii dużo odporności na szkodliwe oddziaływania z zewnątrz i dużo siły żywotnej. Wniosek ten byłby na ogół słuszny, nie byłoby natomiast rzeczą słuszną ani pożądaną, gdyby z tego wniosku miał się rodzić nastrój łatwego optymizmu lub — jeszcze gorzej — oportunizmu wobec spraw językowych regulujących się jak gdyby samorzutnie, a więc mogących rzekomo nie wymagać od nas interwencji i przejmowania się. Jeżeli możemy dostrzec w języku jakąś tendencję historyczną, to tym bardziej powinno to nas nakłaniać do zajęcia wobec danego zagadnienia postawy czynnej, bo skoro możemy się zorientować w sytuacji, to nie grozi nam bezowocność wysiłku.

Nie poprzestając na stwierdzeniu, że w języku polskim wyrazy obce ukazują się nazbyt często, ale też często są tylko efemerydami, postarajmy się bliżej określić tę siłę, która z obcymi wyrazami na gruncie rodzimym stacza walkę, zacieśnia sferę ich oddziaływania, a w licznych wypadkach stopniowo usuwa je z języka.

Przyjrzyjmy się przykładowo niektórym wyrazom obcym, żeby lepiej zrozumieć ich właściwości i charakter.

Oto na przykład wyraz *lansować*: ma on nieco szczególny odcień uczuciowy i bardzo wyraźne, bo dosyć ciasne znaczenie: można *lansować* jakąś osobę pomagając

jej w robieniu kariery albo jakiś artykuł handlowy, który ma zdobywać nowe rynki. Wyraz *lansować* wzięty jest z francuskiego. Gdy porównamy ten czasownik w języku polskim z jego odpowiednikiem francuskim (*lancer*), uderzą nas znaczne różnice. Francuskie *lancer* ma wiele znaczeń: jest to czasownik, którego używać można równie dobrze w znaczeniach czynności fizycznej »rzucania«, »ciskania«, na przykład *lancer une pierre* »rzucić, cisnąć kamieniem«, jak w znaczeniach mniej lub więcej przenośnych, a więc zarówno, gdy mowa o słońcu rzucającym promienie (*le soleil lance ses rayons*) jak i o oczach, które *lancent des regards*, czyli rzucają spojrzenia. To samo *lancer* może również znaczyć »poszczuć«, gdy mowa o sforcie psów, »spuścić na wodę«, gdy mowa o nowo zbudowanym okręcie. Jak widać, wyraz ten na swoim rodzimym francuskim gruncie żyje niejako pełnią życia, ma różne odcienie i wartości stylistyczne. Oderwany od tego gruntu, przeniesiony na grunt polski, staje się wyrazem o znaczeniu wąskim, ubożeje — traci swoje barwy.

Weźmy inny przykład. Jest w języku polskim przejęty z francuskiego wyraz *abażur*. Wiemy wszyscy, że wyraz ten znaczy pewien rodzaj zasłony na lampę, ale w budowie swojej jest on dla ogromnej większości mówiących po polsku zupełnie niezrozumiały. Można by było powiedzieć, że *abażur* to dla nas czysto umowny znak pozbawiony sam przez się wszelkiej wartości, wszelkiego wewnętrznego życia. Inaczej dla Francuza, który w wyrazie *abat-jour* odczuwa części składowe i wiąże pierwszą jego część z czasownikiem *abattre* znaczącym tutaj »spychać w dół, obniżać«, w drugiej zaś widzi wyraz *jour* mający między innymi znaczenie »światła«. Na gruncie francuskim *abat-jour* ma pewien dynamizm znaczeniowy, jest to wyraz, który sam się tłumaczy, jest uzasadniony, ma zrozumiałą dla wszystkich rację bytu, bo *abat-jour* to »to, co obniża światło«, podczas gdy na tle polskim *abażur* to twór anemiczny, nie wiążący się z niczym, izolowany, krótko mówiąc — obcy. Już po tych dwu przykładach można stwierdzić rzecz następującą, zresztą w tej chwili nie zasadniczą: przejmowanie obcych wyrazów, czasem oczywiście, na przykład w zakresie techniki nieuniknione, nie wzbogaca w sposób istotny języka zapożyczającego, bo nie daje poznać prawdziwej i pełnej treści, jaką mają wyrazy na właściwym sobie a dla nas obcym gruncie: przejmując, przejmujemy nie pełnowartościowe, żywe i barwne kształty językowe, tylko nikłe cienie tych kształtów.

Otóż wcześniej czy później mówiący zaczynają odczuwać ubóstwo, bladeś świata cieni w porównaniu z wyrazistą konkretnością wyrazów rodzimych. Rzecz charakterystyczna i zasługująca może na osobne studium, że mnóstwa wyrazów obcych nie dałoby się wprowadzać do języka poetyckiego, bo razłyby w nim jako prozaizmy.

Mickiewicz mówi w znanym wierszu:

„Jest mistrz, co wszystkie duchy wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru”.

Gdyby wyraz *wtór* zastąpić mniej więcej bliskoznacznym *akompaniamentem*, to pomijając zrujnowanie metryczne wiersza, osiągnęłoby się efekt płaski: „nastrajać do akompaniamentu” instrumenty muzyczne może jakiś technik-stroiciel, ale nie wielki mistrz, nie Bóg, którego ma na myśli poeta. Różnica między wartością swojskiego

wtóru i obcego akompaniamentu nie jest przypadkowa, bo rozpiętość znaczeniowa wyrazu *akompaniować* — i pokrewnych — na gruncie polskim jest bardzo mała: dopiero w języku francuskim, skąd wzięliśmy *akompaniować*, wyraz ten odzyskałby w swym pierwotnym właściwy „życia rumieniec”, czyli bogactwo znaczeń, podobnie jak się rzecz ma z omówionym poprzednio *lansować*. Gdy z wyrazem obcym zaczyna walczyć wyraz rodzimy, to za tym rodzimym stają siły zupełnie tamtemu nie znane.

Ostatni przykład. W języku francuskim wyraz *collision* (tak samo jak i jego odpowiednik w angielskim) oznacza zetknięcie się czy to dwóch z przeciwnych kierunków poruszających się przedmiotów fizycznych, czy to sprzecznych ze sobą idei, poglądów, interesów. U nas *kolizja* ma tylko znaczenie mniej lub więcej abstrakcyjne: *kolidują* ze sobą czy to godziny wykładów, czy usposobienia, czy tendencje czyjeś, nie możemy natomiast mówić o *kolizji* aut, gdy mówimy o katastrofie, w której auta *zderzyły się* ze sobą. Bo gdy idzie o żywy, konkretny, działający na nasze zmysły obraz, wówczas nie użyjemy dla jego oddania bladej *kolizji* — skoro mamy pod ręką nierównie mocniejsze, wyrazistsze *zderzenie*. Dążność do zmysłowej konkretności wysłowienia stanowi jedną ze znamiennych cech języka polskiego, prócz tego zaś pogoń za żywym, porywającym oczy obrazem ma charakter żywiołowy, tkwi w samej naturze ludzkiej. Dlatego też dawanie pierwszeństwa wyrazom rodzimym przed obcymi jest czymś zgodnym z naturą, a co jest zgodne z naturą, to zwycięża. Nawet mając na myśli *kolizję* poglądów, można czasem zamiast *kolizja* powiedzieć *zderzenie*, a wówczas wysłowienie staje się mocniejsze, na miejscu wytartego szablonu zjawia się żywa metafora. Dlatego też między innymi wydaje się rzeczą zrozumiałą, że w historii języka polskiego napływowe fale wyrazów obcych tak często w końcu opadały, odsłaniając wydobywający się spod nich rodzimy kształt językowy.

Witold Doroszewski

CZYNNIK SPOŁECZNY W EKSPRESJI JĘZYKOWEJ

Zmarły przed kilkunastu laty utalentowany lingwista Andrzej Gawroński, starając się ująć stosunek człowieka do jego mowy, stworzył formułę, która cieszy się i dziś dość dużą popularnością, bywa często powtarzana i interpretowana, nie zawsze zresztą zgodnie z intencjami autora.

Formuła ta brzmi: *język jest formą dźwiękową, artykułowaną, naszej treści psychicznej*¹⁾. Czytając to sformułowanie, nawet mówiąc o nim, nie zawsze zdajemy sobie jednak sprawę, jak bardzo jest ono mocne, wyraziste i arbitralne. Język jest formą... naszej treści psychicznej znaczy mniej więcej to samo — idąc po myśli Gawrońskiego — co: język jest... odbiciem naszej treści psychicznej, bo autor nie wkładał jak Arystoteles w wyraz *forma* treści metafizycznej. Forma — to po prostu odbicie, kształt *zewnątrzny*, niejako zmy-

1) Andrzej Gawroński: *Szkice językoznawcze*. Warszawa — Kraków, 1928, str. 2. Rzecz wydana przez Tow. Miłośników Języka Polskiego po śmierci autora.

słowy, w którym nasza treść psychiczna — albo powiedzmy inaczej życie psychiczne — się wyraża.

To życie psychiczne człowieka samo przez się nie poddaje się doświadczeniu zewnętrznemu innego człowieka, jest zawarte w bogatym i często bujnym, ale zamkniętym i nieprzenikliwym świecie indywidualnej psychiki. No dobrze, ale my się czegoś o tym życiu wewnętrznym dowiadujemy, możemy zajrzeć nie tylko do własnej głębi, lecz czytamy wiele i u innych. Wiadomo przecież: mówi nam dużo nagły błysk oczu, rumieniec, drżenie warg, bladość twarzy, cała postawa, ruchy, ich szybkość czy powolność i wiele innych jeszcze rzeczy. To wszystko także można by, a nawet by trzeba zaliczyć do form, przez które wyraża się nasza psychika. A nawet każdy przyzna, że te różne formy są bardziej niż język przyrodzone człowiekowi. Jak powiedział ktoś zapytany, czy umie po francusku: mówić to wprawdzie nie mówię, ale umiem się śmiać po francusku. Malaj z Polinezji, Egipcjanin, chłodny Anglik czy Polak mimo wszystkie różniące ich od siebie cechy śmieją się jednak, smuć, cierpią i płaczą podobnie. A porozumieć przecież w żaden sposób by się z sobą nie mogli — owszem, w pewnym zakresie mogliby na pewno — tylko nie za pomocą języka lecz właśnie mimiki, gestów i ruchów.

Więc skoro mowa o formach naszej psychiki, to przecież najpierw te rzeczy należy wymienić: po pierwsze to, co się w naszej twarzy, oczach, ruchach i postawie pod wpływem stanów wewnętrznych bezwiednie maluje. Nad tym i zapanować nie jesteśmy w stanie, to często wbrew naszym chęciom zdradza nas przed innymi. Mały Jaś nie ukryje, że wyjadł mamie konfitury, jeżeli mu mama głęboko zajrzy w oczy. Niech to będą reakcje fizyczne.

Po drugie do form naszej „treści psychicznej” moglibyśmy z pewnym zastrzeżeniem zaliczyć i te naturalne, wrodzone niejako człowiekowi ruchowe środki ekspresji, z pomocą których każdy człowiek, niezależnie od szerokości geograficznej, może wyrazić, że jest zły, głodny, że kogoś kocha, że chciałby sobie zjednać czyjeś względy, że wreszcie kimś gardzi i gotów go np. zrzucić ze schodów. Z pewnym zastrzeżeniem, bo to nie sama nasza „psychika” się tak z konieczności wyraża, lecz my za pomocą tych odruchów czy znaków (jak kierowanie dłoni ku ustom na znak chęci jedzenia) świadomie kogoś innego powiadamy o swoich przeżyciach.

Jednym z takich środków świadomej ekspresji, środkiem — powiedzmy od razu najdonioślejszym i najbardziej uniwersalnym — jest język.

Wracając do formuły prof. Gawrońskiego: język jest... formą naszej treści psychicznej, musimy powtórzyć to samo zastrzeżenie. Nie podobna przyjąć, że język tak się ma do naszych przeżyć, jak np. drżenie rąk, bladość twarzy albo przybita cierpieniem, jak powiadamy „złamana”, postawa — do samego cierpienia. Tego nikt nas nie uczy, jest to coś tak prawie naturalnego jak potrzeba ruchu i oddychania. Języka zaś musimy się uczyć, nie przynosimy go bowiem na świat razem z życiem. Wszystkie zawarte w nim środki ekspresji, choćby najbardziej wyszukane, najbardziej

„osobiste”, prywatne, dotyczące przeżyć choćby najsilniejszych czy najsubtelniejszych i niepowtarzalnych, są w olbrzymiej większości przyswojone od otoczenia.

Jeśli więc nadal mamy pozostać „na gruncie” formuły Gawrońskiego, musimy sobie to wszystko z całym naciskiem powiedzieć. A idąc dalej, każdy się zgodzi, że w takim razie język nie jest „formą” psychiki jedyną, tylko jedną z form i to chyba najmniej „przyrodzoną”. Gdyby język był jedyną formą naszego życia psychicznego, mogliby psychologowie pozwijać swoje warsztaty i zająć się językoznawstwem, bo to byłby najlepszy sposób poznania człowieka. Ale tak nie jest i psychologowie mało na ogół zajmują się językiem, pomijając niektórych reprezentantów dawniejszych „szkół”, jak np. szkoły Wundta, której psychologiczne koncepcje zaciążyły nawet — w sposób niekoniecznie szczęśliwy — na samym językoznawstwie.

Żeby nie było nieporozumień, zaznaczam wyraźnie, że prof. Gawroński był dobrze świadom tych innych „form” życia psychicznego, o których tu była mowa, tylko że to w żaden widoczny sposób nie wpłynęło na treść jego sformułowania, którego intencją podstawową jest wprowadzić dualizm treści i formy, ale zarazem założenie, że ta forma z treścią wiąże się bardzo ściśle i to w sposób naturalny i spontaniczny. Autor mówi dużo o „ciągłości i nieuchronności stosunku, jaki zachodzi między językiem a treścią psychiczną” (op. cit. str. 3), a to właśnie może budzić największe wątpliwości. Niewiele się przytem zmieni, jeżeli dodamy za autorem, że język jako forma jest m a r t w y, bezwładny, bo podlega automatyzacji społecznej, potrzebnej do wzajemnego porozumiewania się, a treść jest ż y w a. To zastrzeżenie maćci nawet wyrazistość koncepcji. Bo skoro treść jest żywa, musi być żywa i forma, w której się ta treść niby w zwierciadle odbija. Nawet autor, jak gdyby odstępując od programowej sztywności formy, pisze dalej, że „Ruch jest w języku nieustanny”, że życie tętni w nim bujnie i silnie (str. 36), ale dalej pisze także: „zawsze jest, zawsze musi być r o z d z i w i ę k m i ę d z y z a m i e r z e n i e m a w y k o n a n i e m (...) Ten rozdzźwięk — czytamy dalej — wynikający z istoty formy i treści, stanowi o rozwoju języka” (str. 37 — podkreślenie autora).

Mamy więc zarazem sformułowany pogląd na przyczyny rozwoju języka, które są według prof. Gawrońskiego natury psychicznej.

Ten dodatek o martwocie formy i niemożności dociągnięcia się jej do żywej treści („stosunek nawiązany w jednym miejscu, rwie się w drugim, trzecim, setnym...”) był koncesją na rzecz innej tezy, tym razem antypsychologicznej, którą wysunął słynny językoznawca genewski de Saussure, a za nim dalej rozwijał również niezwyklej miary uczony francuski, duchowy spadkobierca tamtego, Meillet. Według nich język w istocie swojej nie ma nic jednostkowego, psychicznego, jest w swoim rodzaju Rousseau’wskim *contrat social*, umową społeczną, czystą konwencją, według własnych słów de Saussure’a — i n s t y t u c j ą s p o ł e c z n ą, a więc urządzeniem jak telefon czy telegraf. Według innego ujęcia saussure’owskiego język to s y s t e m z n a k ó w takich samych jak znaki alfabetu Morse’a, języka głuchoniemych, sygnalizacji morskiej itp.

Koncepcja ta w porównaniu z koncepcją psychologiczną stoi na wprost przeciwnym biegunie.

Nie ma w niej prawie miejsca dla jednostki i jej przeżyć, które szukają sobie wyrazu w języku. Jakież jednak trzeba było tej jednostce, nie mogącej się zmieścić w rygorystycznym, jak byśmy dziś powiedzieli, totalistycznym reżimie instytucji społecznej, zrobić ustępstwo. Żeby system pozostał systemem a jednostka jednostką.

Wyjście z sytuacji było dość nieoczekiwane. Poza językiem jako instytucją społeczną, którą de Saussure nazwał *langue* (język), wydzielił on jednostce, niby osobny kącik, tzw. *parole* (mowę), w której ta jednostka może się wyżywać do woli, ale która rzekomo nie wywiera najmniejszego wpływu na *langue* jako na system idealny.

O ile zatem koncepcja psychologiczna kładła nacisk na język jako środek ekspresji indywidualnej, a zarazem — co czynił szczególnie Gawroński — na ogromną rolę uczucia w języku, o tyle ta druga na pierwszy plan wysuwała jego funkcję komunikacyjną i rolę czynnika intelektualnego.

Jedną z trafniejszych krytyk Saussure'owsko-Meilletowskiej koncepcji języka znajdujemy właśnie w cytowanych *Szkicach* Gawrońskiego.

Gawroński musiał jednak uznać, że obok ekspresji przynajmniej równie ważną jest i komunikacja. Pisał wprost, że „czysta ekspresja posługuje się często językiem byle jak” (str. 13), wobec tego muszą się nawet środki czystej ekspresji mechanizować, inaczej nie moglibyśmy się wcale porozumieć, bo każdy by mówił po swojemu.

Ale oto dalej spotykamy zdanie, które nas nastraja trochę nieufnie: „artysta tym więcej przykładła starania do samej formy, im mniej jest bezpośrednim twórcą” (str. 17). Więc czyżby rzeczywiście wielcy twórcy — inaczej niż my, zwykli miłośnicy języka — nie przywiązywali wagi do formy językowej, do wysłowienia? Cóż począć z Żeromskim, który wertował sumiennie Lindego i ciągle majstrował koło swoich rękopisów; jakże sądzić o Mickiewiczu, który np. zupełnie zmienił pierwotną redakcję niektórych *Sonetów krymskich*, mimo że w nich najwięcej samej ekspresji, czystej liryki przenikającej swoim gorącym tchnieniem nawet opisy; co pomyśleć o wynurzeniu Słowackiego, któremu idzie o to „aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”.

Nie na uczucie więc położył nacisk Słowacki, lecz na intelekt, nie na serce, lecz na głowę.

I Kochanowski w *Trenach* rymy wdzięczne składał, pracowicie słów dobierając, i Mickiewicz także — wbrew własnym słowom („ja rymów nie dobieram”). Im większy twórca, tym właśnie więcej cyzeluje swą robotę językową, tylko że mu to idzie stokroć łatwiej i składniej niż zwykłemu śmiertelnikowi. Dlatego mógł Mickiewicz mówić o niedobieraniu rymów.

Największe improwizacje, najsilniejsze wybuchy uczucia, muszą być okiełznane i ujęte w łożysko porządnego, zgodnego ze zwyczajami struktury językowej wysłowienia. Na to rady nie ma. Ale jest w języku miejsce i na ekspresję, i to jest go dużo, wprost nieograniczenie dużo.

Nie wdając się bliżej w istotę tych dwu przeciwnych sobie stanowisk w języ-

koznawstwie chcemy tylko stwierdzić, że w języku dzisiejszym, w jego metaforyce, jedna rzecz jest w każdym razie bardzo uderzająca, to jest *szukanie aktualnych zmysłowych skojarzeń związanych z najważniejszymi zjawiskami życia współczesnego*.

Jaka jest rola pierwiastków ekspresji indywidualnej, a jaka pierwiastków w stosunku do człowieka zewnętrznych, tym się może zajmujemy kiedy indziej¹⁾.

Przyjrzyjmy się na pewnych przykładach samemu materiałowi językowemu zaczerpniętemu ze współczesnej metaforyki. Czy rzeczywiście dla wyrażenia swych przeżyć, dajmy na to uczuciowych, snujemy z własnego wnętrza językową dla nich szatę, niby pojęczyńę, czy też może jest inaczej? Powiedziano, że ten, kto pierwszy użył słów *słońce zachodzi*, był poetą. Można się z tym zgodzić. Ale policzmy, ile jest w języku dzisiejszych poetów takich wygasłych metafor, a ile nowych, przez nich samych ukutych, to zrozumiemy jaką rolę w języku odgrywa czynnik mechanizacji społecznej, i jaką twórczość indywidualna. To są rzeczy na prawdę niewspółmierne.

Najwięcej rzeczy bezpośrednio widocznych dzieje się w słownictwie, w jego zwykłym i tzw. metaforycznym użyciu. Słownictwo — jak to słusznie zaznaczył Gawroński — najsilniej się mechanizuje — ale też — dodajmy — najszybciej się odnawia.

Ani językoznawca, ani tym bardziej miłośnik języka, nie powinien tu oczu zamykać na ekspresję, tak żywo dającą dziś znać o sobie (co zresztą mieliśmy sposobność nieraz podkreślać).

Szukamy ciągle nowych, nieużytych form ekspresji i to nie tyle uczuciowej, ile *przedstawieniowej*, gonimy nie za abstrakcją, lecz za żywą bezpośredniością skojarzeń, czerpanych z zewnątrz, z życia i urządzeń społecznych.

Weźmy pod uwagę np. *sferę militarną*, której język potoczny zawdzięcza wiele wyrażen. Mówimy o *teren*ie nie tylko działań wojennych, ale i szkolnictwa, teatru, magistratu; sam *teren* bywa też aż nadto często używany, np. w zwrocie *praca w terenie*. Powodzeniu dzisiejszej *bazy* może nie tyle sprzyja jej obca niby-świeżość, ile skojarzenia, prowadzące do *bazy morskiej* czy *operacyjnej* (które zresztą tkwiły w użyciach francuskich: *base d'opérations*). Ile się dziś mówi o *zajmowaniu* takiego czy innego *stanowiska* (to może być i myśliwskie), jakże często *operuje się* argumentami, poeci ulegają *inwazji natchnienia*, kupcy zajmują się *mobilizacją środków spożywczych*, posłowie *torpedują różne wnioski*, uczeni i działacze przemysłają nad *defensywą kultury* przed wpływami z zewnątrz, poeci szerzą *awangardowe bie-runki*, a wszyscy *koncentrują wysiłki* ku wspólnemu dobru.

Niespodziewanie zaważyło na nowszej metaforyce nasze młode *lotnictwo i sport*. Wierzyński pisze np. o *pilotowaniu akcji* (dramatycznej), a wyraz *start* nabrał dziś bardzo ogólnego znaczenia. *Startuje* lotnik, biegacz, bokser na ringu, teni-

1) »Czynnik społeczny i indywidualny w rozwoju znaczeniowym wyrazów« omawiał prof. W. Doroszewski w artykule umieszczonym w Księdze ku czci prof. J. Rozwadowskiego (Symbolae grammaticae in honorem J. R., vol. I, str. 19—35, Kraków, 1927).

sista na korce i tancerka na... *recitalu tanecznym*. Wyraz *startować* zbliża się jak gdyby do swego ogólnego znaczenia w angielszczyźnie: *to start* = ruszyć z miejsca — i to może częściowo usprawiedliwiać jego nadużywanie. (Nie można tego samego powiedzieć o wyrazie *recital*, który w takim użyciu niezmiernie razi).

Bywają też różne *złoty*, jak: harcerzy, sokolstwa, przedstawicieli różnych sportów, a niedawno słyszałem z wiarygodnych ust o *złocie*... żebraków w Otwocku. Trudno sobie wyobrazić starych dziadów i baby lecące niby ptaki.

R a d i o — dzieło najnowszej techniki — także zaważyło nie mało na języku. Czyta się ciągle o *uziemianiu zagadnień*, o *długofalowej polityce*, poeci piszą o *antenie myśli*.

Oto parę przykładów dzisiejszej „ekspresji” językowej. Gdzie jej źródło? Czy tylko w głębi „duszy” poetyckiej? — Bynajmniej. Źródłem jej jest tak samo życie i świat zewnętrzny z jego żelbetowymi konstrukcjami, samolotami, zmotoryzowaną armią i radiem. Stara maksyma arystotelesowsko-tomistyczna powiada: *nihil est in intellectu, quod non prius fuerit in sensu* — nie ma nic w umyśle, czego nie było przedtem w doświadczeniu zmysłowym. Poeta z palca sobie niczego nie wyssie, „materialnie” w jego tworzywie językowym jest tylko to, co mu dało społeczeństwo i świat otaczający.

Ale to materialne tworzywo pozostałoby martwe i nieprzydatne, gdyby go nie ożywiał i w ruch nie wprowadzał twórczy umysł jednostki.

Henryk Friedrich

FUNKCJE ZDANIOWE WOŁACZA

Kto uważnie przegląda starsze i nowsze podręczniki gramatyki, tego zadziwić może fakt, że rzeczowniki w wołaczu wyłącza się poza zdanie i traktuje się je jako wyrazy wtrącone.

Ten stan rzeczy został usankcjonowany ortografią dawną i nową, kładącą wołacz j a k o t e ż i n n e w y r a z y s t o j ą c e p o z a z d a n i e m oddzielać przecinkami od reszty zdania. W wydaniu jedenastym *Pisowni polskiej*, a więc tekście oficjalnym nowej ortografii, w dziale o interpunkcji wołacz znajdziemy pod nagłówkiem: *Wyrazy stojące poza zdaniem*, a przykładem czołowym jest zdanie: *P a n i e T a d e u s z u, waścine o gwiazdach gadanie jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole*. Nie chodzi więc o wypadki specjalne, ale o wołacz w ogóle.

Inaczej zapatruje się na to zagadnienie Łoś w *Składni*, zamieszczonej w tzw. Gramatyce akademickiej pięciu autorów. Uważa on wołacz za przydawkę do zaimka osobowego *ty*, wyrażonego w zdaniu, czy też domyślnego. Przypisuje on wołaczowi dwie funkcje: w pierwszym rzędzie wyrażenie postawy uczuciowej osoby mówiącej, a następnie określenie osoby, do której zwraca się mówiący.

Jednak i to ujęcie zagadnienia może wywołać sporo zastrzeżeń, jak to zaraz zobaczymy.

Widzimy tu dwa całkiem odmienne stanowiska, jedno — popularne szkolne, usankcjonowane tradycją, drugie zaś zupełnie uwolnione od brzemienia tradycji. Pomijam

innych autorów, nie chcąc obciążać artykułu zbyt specjalnymi pozycjami bibliograficznymi, bo uważam te stanowiska za najbardziej typowe.

Samą sprawę warto poddać szczegółowszej analizie, bo jest jaskrawym przykładem zarówno siły tradycji w gramatyce nowoczesnej, jak również sposobów powstawania tej tradycji.

Dlaczego wołacz wyłącza się spomiędzy przypadków? Bo nie odpowiada na żadne pytania. Czyżby? Przecież przy dobrej woli można się jakoś o ten wołacz dopytać. Na egzaminach z tym sobie radzą. Ale w tym powiedzeniu nie chodzi o to. Bo przypadki w szkole rozróżnia się wedle ich możliwości odpowiadania na pytania specjalne, szablonowe, takie, jak *kto, co? kogo, czego?* itd. Są one odpowiednikami *quis, quid? cuius?* itd., w tradycyjnej gramatyce łacińskiej, przystosowanymi do gramatyki polskiej.

Owe pytania miały być pierwotnie środkiem pomocniczym, mającym na celu ułatwienie początkującemu uczniowi rozróżniania form przypadkowych. Co prawda, nie mogę się jakoś zdobyć na wiarę w skuteczność tego środka, bo pamiętam żywo stałe niezadowolenie swego nauczyciela gramatyki, gdym biegle określał przypadki, a pewne trudności miałem ze sposobami pytania o nie. Np. w zwrocie *dom ojca*, formę *ojca* określałem zawsze jako dopełniacz, a nie mogłem się pogodzić z pytaniem *dom kogo, czego?* i pytałem zawsze: *czyj dom?*

Bywa, że środek zbyt często stosowany sam staje się celem. To samo stało się i w tym wypadku. Owe pytania weszły stopniowo do definicji przypadków. Dopełniacz — to forma rzeczownika, która odpowiada na pytanie: *kogo, czego?* Ale przede wszystkim kto pyta i kto *tak* pyta i *po co?*

Z wołaczem był zawsze ten kłopot, że naprawdę nie wiadomo, jak o niego zapytać, oczywiście wedle szablonu szkolnego. Kłopot to nie lada, bo uniemożliwia definicję przypadku według norm wyżej wskazanych. Najprościej więc wyrzucić go w ogóle poza zdanie i orzec, że nie jest wcale przypadkiem, a tylko formą podobną do przypadków.

Inni byli mniej pomysłowi. Wymyślili więc formę pytania o wołacz: *o*. Każdy chyba pamięta z czasów szkolnych schematy: Mianownik — *kto, co*; dopełniacz — *kogo, czego...* wołacz — *o*. Fakt, że uczniowie coś z tego rozumieli, świadczy o wrodzonej inteligencji człowieka, której zmóc nie potrafią nawet tak misternie skonstruowane przeszkody dydaktyczne.

Oba te stanowiska metodyczne w gruncie rzeczy pokrywają się ze sobą. Ponieważ wołacz występuje dość często w zwrotach wykrzyknikowych, między innymi w połączeniu z owym *o*, więc łatwo o włączenie wołacza do kategorii wykrzykników. A ponieważ one są traktowane — pytanie, o ile słusznie — jako wyrazy bez związku ze zdaniem — oczywiście tradycyjnie pojmowanym jako zdanie logiczne — więc wołacz wyrzucono ze zdania, wraz z wykrzyknikiem. To pojmowanie rzeczy znalazło nawet swój wyraz ortograficzny, jak o tym mówiłem na początku.

Powstaje zatem pytanie, na ile wołacz jest wykrzyknikiem. Są zwroty, które zdają się to potwierdzać.

Weźmy takie zdanie: *Boże, jakiś ty niedomyślny*. Nie jest to powiedzenie skierowane do Boga, lecz do towarzysza przechadzki i równa się powiedzeniu: *Och, jakiś ty niedomyślny*. Forma więc *Boże* w powyższym przykładzie pełni tę samą funkcję zdaniową, co wykrzyknik *och*.

Takich jednak wołaczów nie ma zbyt wiele. W każdym razie występują one nie częściej, niż np. mianownik. Znany wykrzyknik *Jezus, Maria!* to przecież zbiór mianowników. A jeśli sięgniemy do zasobów językowych, wyrażających poirytowanie, złość czy gniew, takich, jak *psiakrew! psiakość!* itd., zobaczymy, że to wszystko są mianowniki. Pomijam wymyślenia *ad personam*, bo tu wołacz ma inną funkcję, o której później będziemy mówili.

Widzimy więc, że funkcje wykrzyknikowe wołacza nie są znów tak bardzo rozwinięte. Co więcej, wołacz wyraźnie pod tym względem jest upośledzony w stosunku do mianownika. A jednak mianownika jako formy nikt nie wyłącza poza zdanie — co więcej, mówi się, że w tych wypadkach mianownik pełni funkcję wołacza, co jest prawdą chyba tylko o tyle, że niektóre z tych mianowników mówimy głosem podniesionym, a więc *w o ł a m y*, czyli wskrzeszamy tu znaczenie etymologiczne wyrazu *w o ł a c z*.

Zatem zaliczanie wołacza do wykrzykników polega na nieporozumieniu. Mimo woli przypominają się tu podawane w podręcznikach opisy niektórych doświadczeń, które nie udają się nigdy bez pomagania im sztucznie, bo nie mogą się udać. Są jednak w podręcznikach siłą inercji.

Od funkcji wykrzyknikowej wołacza należy odróżnić funkcję powiadomieniową, mającą na celu wyrażenie za pomocą środków językowych, do kogo jest skierowane nasze powiadomienie.

Weźmy dla przykładu zdanie już cytowane: *Panie Tadeuszu, walcine o gwiazdach gadanie jest tylko echem tego, co słyszałeś w szkole*. Tu zwrot *Panie Tadeuszu* informuje, że całe to zdanie jest zwrócone do określonej osoby, noszącej dane imię.

Z twierdzeniem, że taki wołacz jest czymś poza zdaniem, można się zgodzić, jeżeli się ma na myśli zdanie *logiczne*, ale przecież zdanie nie zawsze musi być wyrażeniem sądu logicznego. Biorąc rzecz ściśle, w normalnym, codziennym mówieniu stwierdzanie czegoś czy też zaprzeczanie i troska o obiektywny stan rzeczy jest czymś wyjątkowym. Pominę tu ową częstą życiową funkcję mowy, a mianowicie ukrywanie myśli, ale nawet w owym „normalnym” mówieniu tego, co się myśli, sąd logiczny nie jest czymś częstym. Trudno więc uważać zdania sądzące za zdania *par excellence*, a resztę zjawisk mowy traktować jako wykolejenia owych zdań idealnych.

Zresztą mowa jest z natury swej zjawiskiem społecznym i rozwija się zgodnie z warunkami życia społecznego. Funkcją zasadniczą mowy jest powiadomienie, w dodatku powiadomienie *kogoś*. Dziwnym by więc było, gdyby przedmiot, ku któremu kierujemy dane powiadomienie, nie znalazł jakiegoś wyrazu formalnego. A jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że dokonywamy wyboru, kogo mamy powiadomić, że niejednokrotnie zależy nam na tym, aby tylko ten ktoś był powiadomiony, a nikt inny poza

nim, wówczas wyszczególnienie adresata powiadomienia staje się koniecznym. Jeśli je niekiedy pomijamy, czynimy to dlatego, że dana sytuacja tak dokładnie to określa, że zbędne jest stałe uwydatnianie tego w mowie. Stosując dawną terminologię można by powiedzieć, że wówczas adresat jest „domyślny”. W każdym razie „domyślniejszy” niż podmiot czy inna część zdania.

Usuwanie więc ze zdania form językowych, określających owego adresata powiadomienia świadczy o tym, iż nie docenia się społecznej strony powiadomieniowej zdania, zbyt je uobiektywizując, czyniąc „rzeczą samą w sobie”, niezależną od mówiącego i słuchającego. Błędności takiej koncepcji nie będę dowodził. A wspominam o niej dlatego, by wykazać, że nie ma tak drobnego szczegółu gramatycznego, w którym by nie znalazły odzwierciedlenia ogólne koncepcje językoznawcze.

A zatem jeśli zdanie potraktujemy jako społeczną jednostkę powiadomieniową, nie mamy podstawy obiektywnej do usunięcia wołacza poza zdanie i traktowania go jako wyrazu wtrąconego. Nie jest on czymś dodatkowym, zbędnym, ale ma wyraźną swą funkcję, i to funkcję zdaniową.

Bywają zwroty, w których ta funkcja zdaniowa łączy się z innymi. Weźmy np. wezwania modlitewne, albo też język pieszczot czy wymyślań. Bardzo często są tam stosowane jedynie pewne epitety w wołaczach i nic więcej. Ale samo zastosowanie do kogoś danej formy dostatecznie informuje o adresacie powiadomienia, a także o naszym ustosunkowaniu się do niego. Są to więc w zasadzie pełne zdania, zdania „wołaczowe”. Przykłady: *Boże potężny! Dziecino kochana!* itd.

Zaznaczyć jednak trzeba, że takie zdania wołaczowe, zwłaszcza odpowiadające silniejszym stanom uczuciowym, stają się często zdaniami „mianownikowymi”. Częściej się posłyszysz *Dureń! Osioł!*, niż *Durniu! Ośle!*, których ton uczuciowy jest raczej słabszy, informujący więcej, niż gniewliwy. A to wyraźnie przeczyłoby wydzielaniu wołacza spośród innych przypadków ze względu na jego wybitny charakter uczuciowy. Uważam, co zresztą każdy może stwierdzić, że równie dobrze, a nawet z większą słusnością, można nazwać mianownik przypadkiem uczuciowym, bo już samo zastosowanie mianownika zamiast wołacza świadczy o większej intensywności uczucia, łączącego się z treścią zasadniczą danego wyrazu, jeżeli oczywiście w danym wypadku forma wołaczowa jest w ogóle używana.

Przejdziemy teraz do wypadków, gdy wołacz pełni wyraźną funkcję podmiotu, na równi z mianownikiem w innych wypadkach.

Oto przykłady: *Nie przyniosłeś mi, chłopcze, książki. Czyś, dziewczyno, zapomniała o mnie? Daruj, Panie, com zawinił.*

Porównajmy te zdania z takimi, jak: *Nie przyniósł mi chłopiec książki. Czy dziewczyna zapomniała o mnie? Niech Pan daruje, com zawinił.* Tu wyrazy *chłopiec, dziewczyna i Pan* są bezspornymi podmiotami. Uznają to nawet *Zasady pisowni*, nie każąc ich wyodrębniać przecinkami jako wyrazów, stojących poza zdaniem.

A czyż różnią się od nich pod względem związku zdaniowego wyrazy *chłopcze, dziewczyno, Panie*? Przecież do nich pod względem formalnym są przystosowane orzeczenia zasadnicze, zwłaszcza *przyniosłeś i zapomniała*. Nie trzeba tu szukać żąd-

nego domyślnego *ty*, bo ono najwyżej mogłoby zastępować niesprecyzowane bliżej podmioty. Takie domyślne *ty* — to równie domyślne *on* w drugiej grupie zdań, czego tam nikt nie wprowadza. Zresztą samą formę *ty* jestem skłonny uważać raczej za wołacz niż mianownik, bo pełni ona takie funkcje, jak określanie adresata powiadomienia, czego nie czyni mianownik, chyba wyjątkowo.

A zatem te formy są podmiotami. I można sformułować nawet taką zasadę: Jeżeli orzeczenie ma formę pierwszej lub trzeciej osoby, wówczas podmiot przybiera formę mianownika. Natomiast jeśli orzeczenie jest w drugiej osobie, wówczas podmiot przybiera formę wołacza.

Rzecz jest na tyle jasna, że nie wymaga dalszego uzasadnienia. Zdawał sobie z tego sprawę już Łoś, ale nie doszedł do traktowania wołacza w tych wypadkach jako samodzielnego podmiotu. Uważał go jedynie za apozycję do domyślnego *ty*. Klemensiewicz w swojej *Składni opisowej współczesnej polszczyzny kulturalnej* funkcję podmiotową wołacza (inaczej tylko to nazywając) upatruje jedynie w tzw. oznajmieniach poleceniowych i woluntalnych (w ogólnej terminologii zdania rozkaznikowe).

Tu upatrywać by można oddziaływanie subiektywne samej nazwy wołacza, kojarzące się samorzutnie z wołaniem. Nazwę wzięto za rzecz, stąd pewne nieporozumienia.

Pozostaje zebrać teraz po krótku wnioski, do których doszliśmy w niniejszych rozważaniach.

Otóż zdaniowymi funkcjami wołacza są: 1) oznaczanie podmiotu, gdy orzeczenie stoi w drugiej osobie; 2) oznaczanie adresata powiadomienia.

Są to funkcje czysto logiczne, gdzie przy najbystrzejszej analizie nie można się dopatrzeć jakichś elementów uczuciowych, chyba jedynie ten, że gdy mówimy, to mówimy do kogoś i ze względu na coś, czyli że ulegamy jakiemuś impulsowi, który nas skłania do mówienia. Ale takie zabarwienie „uczuciowe” posiada każdy inny składnik zdania.

Oczywiście, jak każdy inny wyraz, tak samo i wołacz może być użyty w charakterze wykrzyknika. Ale ten fakt nie jest na tyle częsty w porównaniu z losami innych form, zwłaszcza mianownika. Co więcej, jesteśmy świadkami wypierania wołacza w tym względzie przez mianownik, podczas gdy jego formalne funkcje zdaniowe temu przekształceniu ulegają w znacznie mniejszym stopniu.

To świadczy o tym, że wołacz wykazuje skłonność nie do zaniku, jak niektórzy sądzą, ale do „formalizacji”, jeśli tak to nazwać można. Czyli że odczucie bezbarwności niejako uczuciowej wołacza zmusza do szukania innych środków ekspresji.

A zatem wołacz jest częścią zdania, i to ważną, i wszelkie zaliczanie go do wyrazów stojących poza zdaniem jest bezpodstawne, bo opiera się na podkreśleniu jego najpodrzedniejszych funkcji i pominięciu najważniejszych.

Nie znaczy to, bym się przeciwstawiał wyodrębnianiu wołacza przecinkami ze względów ortograficznych. A to dlatego, że ortografia jest w ogóle rzeczą konwen-

cjonalną i nikt do niej nie może mieć pretensji, że nie wiele ma wspólnego z nauką o języku. Po drugie zaś dlatego, że wołacz mimo wszystko wykazuje pewną samodzielność w zdaniu. Mam na myśli tu fakt, iż wołacz nie ma stałego miejsca w szyku zdaniowym. Wprawdzie języki fleksyjne mają znaczną swobodę pod względem szyku zdania, ale nawet na tle tej swobody owe anarchiczne skłonności wołacza występują aż nadto jaskrawo.

Warto też zaznaczyć, że zagadnienie wołacza występuje tylko w rzeczownikach rodzaju męskiego i żeńskiego w liczbie pojedynczej. We wszystkich innych wypadkach jest on utożsamiony pod względem formalnym z mianownikiem. I wyodrębniany bywa *per analogiam*, w związku z funkcjami, o których była mowa.

A teraz rozstrzygnięcie ostatniego pytania: czy wołacz jest przypadkiem? To zależy od tego, co rozumiemy przez przypadek. Jeśli przypadkiem nazwiemy formę gramatyczną danego wyrazu, określającą rolę, jaką on pełni w zdaniu, wówczas wołacz, ze względu na to, cośmy już powiedzieli poprzednio, musimy zaliczyć do przypadków. Jest to zresztą stanowisko przyjęte niemal powszechnie.

Jan Tokarski

O FORMACH EKSPRESYWNYCH TYPU *KACANAPA*, *SOBIELIZANT* i *ŻE-PYCHA*

I.

W tym artykule rozpatrzmy tylko zjawiska, równoległe do (omówionych w poprzednich artykułach) zniekształceń wyrazowych, etymologii ludowej i etymologii pseudonaukowej:

Zniekształcenia wyrazowe. — Zniekształcenia ekspresywne.

Etymologia ludowa. — Etymologia ekspresywna i żartobliwa.

Etymologia pseudonaukowa. — Etymologia fantastyczna.

W przeciwieństwie bowiem do bezwiednego trzeba odróżniać celowe używanie pewnych form jako swoistych „chwytów” stylistycznych, które stosują nie tylko poeci i pisarze, ale także użytkownicy językowi nawet na najniższych szczeblach.

Oczywiście każdy ożywia sobie mowę „po swojemu” i tak jak go na to stać, stąd krańcowe stadia świadomej ekspresji językowej różnią się od siebie znacznie¹⁾.

Na przykład już taka *kacanapa* »kanapa« ma być w pojęciu niektórych ludzi mocno *dowcipną* formą.

Niewiele są wytworniejsze *woskowy* »wojskowy«, w gwarze uczniowskiej *korek* »korepetytor«, *Antek u Wyspiańskiego* — tytuł dzieła *Antyk u Wyspiańskiego*, *filtrować* »flirtować«, *dupłom* »dyplom«, *pofastrygować się* »pofatygować się«, *jelita* »elita«, *ruptura* »emerytura« itp.

Z zacytowanych kilku przykładów widać już, że paralelizm między zwykłymi a ekspresywnymi zniekształceniami jest zupełny. Tak samo mamy tutaj — cząstkowe:

1) Por. J. Żebrowskiego: „Snobizm a wybryki językowe”, Pion nr 193.

kacanapa, *dowciapny* i całkowite: *jelita*, *ruptura*, o podłożu fonetycznym: *korek*, *filtrować* i odeń niezależne: *pofastrygować się*, *Antek u Wyspiańskiego*, o źródłach jasnych i niejasnych: *dowciapny*, *dupłom*.

II.

Ścisłym odpowiednikiem etymologii ludowej jest w dziedzinie świadomej ekspresji językowej etymologia ekspresywna:

ogarnitur »garnitur« od ludowego *ogarnąć się* »ubrać się« („Jako chociaż, że jestem wedle ogarnituru nie bardzo ogarnięty”. Estr. 34, 48).

wyświechcony, forma zrodzona z *wyświechtany* i *wyświecony*:

Spod purpury
Marchołat wylazł
Wyświechcony
Nazbyt gruby!

(Kasprowicz, w wych. zbior. XV. 174).

odurmanić — kontaminacja *odurzyć* (*durny*) i *otumanić*²⁾:

„Wszystkich on tutaj odurmanił prócz mnie starego wygi”.

(Sieroszewski, Beniowski, dzieła zbior., str. 92).

przywada z wtórnym *d* zamiast *przywara*, która oznacza »resztki jadła przywarte do naczynia«, a w przenośni »cechę przeważnie ujemną, która przyłgnęła do danego indywiduum«.

„Człowiek z milionem przywad”. (Wierzyński. Gorzki Urodzaj, str. 77).

Odmianką etymologii ekspresywnej, wyższą zasadniczo stylistycznie, jest etymologia żartobliwa:

ciucia »ciocia«.

sobielizant »solenizant«, bardzo dowcipne i nie gorsze od politycznych etymologii Nowaczyńskiego (*pepejsowiec*, *judeologia*).

W artykule p. n. „Źródła zniekształceń wyrazowych” cytowaliśmy *rymatyzm*, i *romatyzm* jako odmianki *reumatyzmu*, który A. Fredro świadomie na *romantyzm* sobie przerobił:

Cierpię mocny romantyzm w ręku, w nodze, boku
Mam kaszel, zawrót głowy i bielmo na oku.

(W wyd. zbior. Kucharskiego. I. 497).

i dzięki temu, szczególnie w swoich czasach, uzyskał dość komiczny efekt.

III.

Na str. 81 swoich „Szkiców językoznawczych” prof. J. Baudouin de Courtenay powiada:

„*Nabuchodonozor* znaczy, według Mickiewicza, *Nebuh-odno-car*, tj. „nie Bóg,

²⁾ Tu zresztą, jak często u Sieroszewskiego, możliwy jest rusycyzm: por. ros. *durman* »oszołomienie, męt w głowie«.

jedno car", a według Słowackiego *Neboh-da-car* ²⁾). Według tegoż Słowackiego, *Bolesław* był dlatego tak nazwany, że „boli go sława” ³⁾, *Włodzimierz* dlatego, że „włada mirem” ⁴⁾, *Jadwiga* oznacza tę, co to „jad widzi” ⁵⁾, *Rzepycha* jest to „że-pycha” ⁶⁾, *Rytyger* znaczy „ryży tygrys” ⁷⁾ itd.

W tych dziwacznych wywodach etymologicznych razi wielka pretensja do uczoności w połączeniu z niemniejszą może ignorancją” (!)

Etymologiczne igraszki Słowackiego są rzeczywiście dziwaczne, ale i sąd o nich prof. Baudouina trochę dziwi.

Ktoś nie uprzedzony pomyślałby raczej, że ostatnie zacytowane zdanie odnosi się do jakiegoś pretensjonalnego artykułiku etymologicznego w „Expressie Porannym” a nie do Króla-Ducha.

Trzeba odróżniać etymologie pseudonaukowe od fantastycznych, a wśród tych ostatnich indywidualnie rozpatrywać każdy konkretny wypadek.

Inaczej przecie będziemy się zapatrywać na humorystyczne etymologie salonowe typu: *ma-tka* — ‘bo co ma to tka dziecku’, *magnat* ‘mający chudą żonę’, *zbereźnik* ‘wracający z Berezy Kartuskiej’ (żart pewnego naukowca-lingwisty), inaczej na etymologizowanie Mickiewicza w wykładach o literaturze słowiańskiej, inaczej na etymologie fantastyczne w poemacie Słowackiego, inaczej wreszcie — w metafizycznych utworach Norwida ⁸⁾ czy Micińskiego ⁹⁾.

- 3) Lepiejże było wejść mi pierwiej w ligę
Z jakim cesarzem lub Neboh-da-carem...

(J. Słowacki: Król-Duch).

- 4) I ksiądz rzekł: Niechże królewskim cierpieniem
Będzie ochrzczony ten duch nieśmiertelny,
I niech mu sławy ból będzie imieniem,
A tą boleścią niechaj będzie dzielny. (Tamże).

- 5) Pierwszy raz niby z trumnicy się lodu
Podniosło widmem duchem zapalone,
Głuszone kruków i wron czarnych skwirem
Młode — a już się zowie Władymirem. (Tamże).

- 6) Wtenczas — przydomek mająca jad-widzi... (Tamże).

- 7) A żona siadła w kącie rozgniewana,
Że pychą była... (Tamże).

- 8) I rycerz, który na miasto uderza,
W piosence Ryżym Tygrysem nazwany. (Tamże).

9) Norwid zazwyczaj zestawia szereg wyrazów podobnie brzmiących i fantastycznie wiążąc je znaczeniowo, od razu stwarza swoje „poetyckie” teorie naukowe: „U Germanów (u Niemców) piękność ma określnik (*schöne*), ten nosi w sobie pojęcie obserwacyjne i do czasu zastosowane jakoby dojrzałość i dokończoność w porę właściwą określające, dlatego to brzmi w nim i wyraz słońce (*sonne*) i wyraz (*schon*) i wyraz (*scheinen*) i nareszcie słowo *schonen*...” U Polaków określnik *piękno* dwa nosi brzmienia w sobie... Złożony jest albowiem z wyrazów *pieśń* i *jęk* a zamienia się w trzeci wyraz *pojękność* i jakoby nad boleścią triumf znaczy” („O sztuce”, Paryż 1858, str. 21/4).

- 10) W „Nietocie” (str. 51) np. „nieboszczyk tj. niebo ziszczający”.

Zresztą i w jednej całości podobne chwytły nie mają zawsze tego samego znaczenia.

W Królu-Duchu *Nebohdacar* i *Władymir* różnią się wyraźnie od „Że puchy” i „ból sławy”, a zupełnie odrębne oblicze ma ostatnia z zacytowanych etymologii: *Ryży Tygrys*, bo poeta zaznacza, że jest to nazwisko (właściwie przezwisko) w pio-sence, ale pomijając nawet bardzo ważny moment, że do fantazji literackich nie można przykładać miarki naukowej, opinia prof. Baudouina odznacza się nadto anachronizmem. Czym mogła być hamowana fantazja poety na odcinku etymologicznym w pierwszej połowie XIX wieku, skoro do obecnej chwili nie ma jeszcze w tej dziedzinie naukowego wykładu metodycznego i spora ilość współczesnych hipotez etymologicznych ma tylko wartość literacką? W literaturze natomiast pojawiają się próby poetyckie, oparte na wynikach ścisłej wiedzy językoznawczej:

...Z pradawien pradawna:

Gdy się jeszcze zioło nie zieleło,
Ani zieleń na ziemi nie było,
Ani żółte ze żółtem przemienne
Wspólnem gęłtas nie pluskało w Niemnie,
(A dziś — wyjdź za Wilno, na pole,
Na tem polu nie trawa, lecz żole,
Nie zieleni się: żelti murawa,
A żolynas: złotawa otawa),
Jeszcze w Renie nie bulgnęło gulthem
I nie było ni złotem ni żółtem,
Ani w skarbcach łotewskich zeltsem
(Znaczy: złotem — a słyhać go zielcem!)...

(S. Tuwim, Zieleń, Wiadomości Literackie, 660).

Jako innowacja tematyczna rzecz oryginalna, ale w wielu partiach skutkiem naukowości brak prawdziwego tchnienia poetyckiego.

Jerzy Żebrowski

* * *

Formy objaśnione (110): *Agnieszka* (higienistka), *alimentarz*, *ampartament*, *ankohol*, *alapstryka*, *Antek u Wyspiańskiego*, *antrakcja*, *antyleria*, *areoplan*, *automobus*, *bąmba*, *będnarz*, *bęmbnarz*, *blomba*, *Bronek w cywilu* (bromek ksylilu), *bydlinek*, *capstryk*, *capszytk*, *Cecylia* (Sycylia), *choramantka*, *ciucia*, *czapszytk*, *dialogi* (dialekty), *dedykcja*, *Druzgienniki*, *duplom*, *dyspensja*, *elektryka*, *elepstryka*, *elimenta*, *euoplan*, *humoroidy*, *inteleza* (Teresa), *jelita* (elita), *kalikatura*, *Kalmyk*, *Karpi*, *karkulować*, *kość-ół*, *krakuly*, *kryjatura*, *kulometr*, *kuropatywa*, *kopciowy ołówek*, *lardynki*, *lawirowy*, *leguratór*, *lekjewazyć*, *likator*, *łatki* (oładki), *ma-gnat*, *mankierant*, *markierant*, *ma-tka*, *mendal*, *mentryka*, *mododrzew*, *modrodrzew*, *Nebohdacar*, *odsuperować*, *odurmanić*, *ogarnitur*, *okundlować*, *porgan*, *Persifal*, *porcynela*, *postronkowy*, *parabela*, *pofastrygować się*, *potrzewny*, *prepunować*, *proborszcz*, *pu-*

zerant, pużerant, resztancja, romantyzm, romatyzm, regurator, rozniemca, rumbarbarum, ruptura (emerytura), rumatyzm, rymatyzm, rynsztowanie, Ryży Tygrys, sanskrypt, sekulary, sekulory, smętarz, sobielizant, solidacja, staryna, storacja, strzelec z Jezusem, z Celsjuszem, z cenzjuszem, tłumian, tybulec, ufront, uroplan, Warszawa, Włady-mir, Weronik, winokle, wyświechcony, zakamórki, zapsztyk, zadrzewić, zberieżnik, Że-pycha.

Formy nie objaśnione: dowciapny, kacanapa, pletonowy, spożdżiewać się, substelny.

U w a g a: Materiał do artykułów czerpałem w przeważnej części z własnych notatek. Przy niektórych przykładach podawałem nazwę miejscowości, z której dana forma pochodzi, ale zasięg jej może być oczywiście znacznie szerszy. J. Ż.

R O Z T R Z Ą S A N I A

UWAGI O NAZWACH OSOBOWYCH

(Z powodu pracy ks. Kozierowskiego)

Historia nazw osób i miejscowości jest dziedziną bardzo interesującą nawet dla osób nie poświęcających się specjalnym studiom w tym zakresie. Każdy ma wciąż do czynienia z najrozmaitszymi typami nazwisk. Są nazwiska z królestwa zwierzęcego, roślinnego i mineralnego, więc np. *Kokot*, *Czajka*, *Kąkol*, *Śliwka*, *Węgiel*, *Glinka* etc.; z królestwa kuchennego: *Krupa*, *Kluska*, *Rosół*, *Koszyk* etc.; z nazw narodów: *Turek*, *Niemiec*, *Szwed* etc.; zawodów: *Kowal*, *Tokarz*, *Biskup*, *Skotarek* etc.; nazwiska mówią o różnych właściwościach ludzkich dodatnich, ujemnych i obojętnych, jak np. *Zacny*, *Posłuszny*, *Łakomy*, *Biały*, *Żelazny* etc.

Takie i tym podobne nazwiska mogą dostarczyć już tematu do ciekawych rozważań, ale jeszcze nie zaintrygują tak, jak np. nazwiska w rodzaju: *Smektala*, *Cyplik*, *Talaga*, *Cepuch*, *Guzy* etc. Kto ciekawy, to przy pomocy słowników dojdzie, że i te nazwiska to pierwotnie imiona pospolite, wyszłe z użycia w języku polskim literackim; więc *Cyplik* to »dzióbek u dzbanka«, *Guzy* to gwarowa postać *kusego*, *Smektala* imiesłów żeńskiego rodzaju do *smektać* »głaskać«, *cepuch* to »rura kominowa«, *talaga* »rodzaj wozu« etc. etc. Obok całej masy nazwisk ze znaczeniem oczywistym albo dającym się z pomocą słowników odnaleźć, jest szereg innych niezrozumiałych na pierwsze wejrzenie, więc np. *Nyka*, *Gmura*, *Sioda*, *Gbiorczyk*, *Gdeczyk*, *Rapior*, *Bzyl*, *Korzekwica*, *Gdyk*, *Psyk*, *Dorna*, *Firus*, *Galuba*, *Zaran* etc. etc. Po namyśle można sobie uświadomić, że *-czyk* w *Gbiorczyku* i *Gdeczyku* to taki sam przyrostek jak w *chłopczyku* czy *kupczyku*, *-yk* w *Gdyku*, *Psyku* przypomina *kamyk*, *grzebyk*, *-yl* w *Bzylu* przywodzi na myśl *badyle*, *motyle* a i *Maryłę*, *Galuba* — *rachubę*, *Firus* — *ślugusa*, *obdartusa* etc.

Przyrostkami można tworzyć nowe wyrazy nie tylko od imion pospolitych, ale także od własnych; taki np. *Bronisz* utworzony od *Bronisława*, *Godzisz* od *Godzisława*, *Klich* od *Klimentego*, tj. *Klemensa*, *Gawrzych* od *Gawrzyjała-Gabriela*, *Pa-*

szek od *Pakostawa* albo od *Pawła* etc. Więc i powyższe nazwiska to będą derywacje albo od jakichś imion pospolitych albo od własnych np. *Gdeczyk* od imienia własnego *Gdek*, *Korzekwica* od imienia pospolitego *korzkiew*, tj. »łyżka« etc. A imiona tak jak i nazwiska późniejsze były pierwotnie imionami pospolitymi, których znaczenie zostało zacieśnione do określenia jakiejś osoby; były to najczęściej rzeczowniki lub przymiotniki, rzadziej innej części mowy, a są wypadki, gdzie całe zdanie występuje jako nazwa człowieka, tak np. *Skoczdopole*, nazwisko znane w przedwojennym Cieszyńsku, zresztą czeskie. Dzisiejsze oznaczanie ludzi dwoma wyrazami, imieniem i nazwiskiem, to instytucja dość świeżego pochodzenia. Tak np. w Polsce u szlachty nazwiska ustaliły się w wieku XVI, przeważnie na *-ski* i *-cki*, dając początek nazwiskom tzw. szlacheckim, które dziś przy zmianie nazwiska są najchętniej wybierane; są to nazwy odmiejscowe, od nazwy posiadłości tworzone. Mieszczanie przybierali przeważnie nazwy patronimiczne na *-ic* i *-owic* np. *Zimorowic*, *Klonowic*, *Staszyc* etc., zmienione później pod wpływem ruskim na *-icz* i *-owicz* np. *Janowicz*, *Frankiewicz*, *Mikulicz* etc.; są one tworzone od imienia ojca, które nieraz także bez żadnego przyrostka przechodziło w spadek na syna, stając się nazwiskiem np. *Gaweł*, *Stach*, *Roman*, *Szczęśny*, *Wiktor* etc. U chłopów ustalają się nazwiska dopiero w XVIII a nawet XIX wieku, również u Żydów. Podobnie było w Niemczech i w innych krajach europejskich, a Turkom wszak Kemal dopiero narzucił nazwiska.

Jeżeli każde imię pospolite może się stać imieniem własnym, to z drugiej strony każde imię własne przy sprzyjających okolicznościach może się stać imieniem pospolitym, o przykłady czego nie trudno np. *alfons* »sutener«, staropolska *dorka* »kobieta lekka« (od imienia *Dorota*), tyńf »półzłotówka« (od nazwiska mincarza *Tümpe*), *wałach* (od pasterzy wałaskich, tj. wołoskich, co konie trzebili), *olbrzym* (od *Obrów-Awarów*) etc.

Ciekawe i naukowo ważne kwestie związane z nazwami ludzi mają już bogatą literaturę także i w Polsce, że wspomnę tu prace Taszyckiego *Najdawniejsze polskie imiona osobowe* i Bystronia *Nazwiska polskie*. Literatura poświęcona imiennictwu polskiemu została wzbogacona w ubiegłym roku przez niezmiernie zasłużonego pracownika na niwie onomastyki polskiej ks. St. Kozierowskiego¹⁾. Ks. Kozierowski zajmował się od wielu już lat polskimi nazwami miejscowymi, a owoce benedyktyńskiej iście pracy opublikował w całym szeregu dzieł, że tu wspomnę tylko siedem tomów *Badań nazw topograficznych* i *Atlas nazw geograficznych Słowiańszczyzny Zachodniej*. Wyciągając ze źródeł dziejowych nazwy topograficzne, natykał się oczywiście ciągle także na nazwy osobowe, które też niejednokrotnie czy to dla oświetlenia nazw miejscowych, czy dla innych względów notował na marginesie swoich badań toponomastycznych. Zdając sobie sprawę z korzyści, jakie przynosi dla nauki językoznawczej badanie tego działu słownictwa, a czując dotkliwy brak ono-

1) Ks. Kanonik Stanisław D. Kozierowski *Nazwiska, przezwiska, przydomki, imiona polskie niektórych typów słowotwórczych*. Księga rodzaju ludu polskiego. Poznań, 1938. Czcionkami Drukarni S. A. „Ostoja” w Poznaniu.

mastycznego słownika polskiego, postanowił sporządzić taki słownik. Jest to „spisimion, według kilkunastu kategorii zestawiony” a „ma przedstawiać rozmaitość i bogactwo naszego języka rodzinnego i służyć jako imiennik polski im (zapewne omyłka druku zamiast: nim) większy i zupełny nie wyjdzie”.

Taki większy i zupełny się już od dłuższego czasu przygotowuje we Lwowie w Seminarium języka polskiego pod redakcją prof. Taszyckiego. Skoro wyjdzie (oby jak najrychlej), wtedy „imiennik” ks. Kozierowskiego straci wiele na wartości, chociaż słownik Taszyckiego będzie to tylko „Słownik staropolskich nazw osobowych” (zbiór ks. Kozierowskiego zawiera także nazwy dziś istniejące, wyciągane z różnych źródeł współczesnych np. Lista strat powstania wielkopolskiego 1918/19. Warszawa 1935 itp.). Na razie książka ks. Kozierowskiego to kopalnia osobliwości dla laika, pomiędzy „Nazwiskami złożonymi” jest cały szereg osobliwych i nieraz pociesznych np. *Bylebył*, *Ciełcanoga*, *Domaciepło*, *Wszemdałka*, *Półtoragrzegorza*, *Niewiego*, *Cichowlaz* etc., pożądana pomoc dla fachowca-językoznawcy, który się łatwo zorientuje w nieco chaotycznie ułożonym zbiorze. Mam tu na myśli zasadę zestawiania nazw wedle przyrostków (które często przyrostkami nie są). Tak np. pomiędzy tworcami z przyrostkiem *-da* znalazły się nazwiska: *Darda*, *Gajda*, *Wajda*, wszystko wyrazy obcego pochodzenia; pierwszy to włoskie *dardo* »włócznia«, drugi tu turecka nazwa »dud«, trzeci węgierska nazwa »naczelnika prowincji« (przekształcona zresztą ze słowiańskiego *wojewoda*). Więc *-da* nie jest w tych nazwiskach przyrostkiem takim jak np. w wyrazach *krzywda* lub *prawda*, utworzonych tym przyrostkiem od przymiotników *prawy* i *krzywy*; bo przecież nie można powiedzieć, że nazwisko *Darda* utworzono na gruncie polskim od jakiegoś *dar-* przyrostkiem *-da* etc. I o tym ks. Kozierowski naturalnie wie, a tylko pod kategorię przyrostków podciągnął mechanicznie wydzielone zakończenia nazwisk dla celów praktycznych, dla łatwego przeglądu, co oczywiście może znaleźć dobre uzasadnienie. Wypadków takich znajduje się pod każdym nagłówkiem-przyrostkiem pełne garście — tu kilka jeszcze przytoczę. Więc pod nagłówkiem „Przyrostek *-an*, *-ana*” czytamy: *Barchan*, *Caban*, *Galgan*, *Ryczan*, *Puzan*, *Multan*, wszystko wyrazy obce; dalej *Puścian*, co jest jedną z dialektycznych form literackiego »cienia«, a *Katana* to węgierskie *katona* »kurtka« i »żołnierz«. Pod przyrostkiem *-ega* znajdujemy *Pożegę*, co przedstawia oboczną postać literackiego *pożoga*, gdzie *żeg*, *żog* jest pierwiastkiem, a przyrostkiem *-a*; pod przyrostkiem *-oga* czytamy nazwisko *Noga*, gdzie znów pierwiastkiem *nog-* a przyrostkiem *-a*.

Przy tak obfitym materiale (zbiór obejmuje około 15.000 pozycji) nie mogą dziwić pewne przeoczenia, niedociągnięcia, niedokładności. Tak np. pod przyrostkiem *-ura* czytamy nazwisko *Cięgotura*, wywodzone od czasownika *ciągotać* »wabić«, powtórzone potem w rozdziale Nazwiska złożone rozmaitych typów: otóż to ani twór przyrostkowy na *-ura*, ani wyraz złożony *cięgo-tura* (cóżby znaczyła ta *-tura*?), tylko włoska *cinghiatura* »pas«. W rozdziale XXI Formacje zakończone na „y” ks. Kozierowski pomija nazwiska „pospolite typu na *-ny* jak *Grobelny* etc., na *-ty* jak *Garbaty* etc., na *-sty* jak *Kaniasty* etc.” i daje tylko niewielką liczbę innych ty-

pów, a przecież ten „typ pospolity” jest także ciekawy — szkoda, że autor nie dał całego zebranego materiału. I tutaj pomiędzy przymiotnikami znalazły się także nazwiska nie będące przymiotnikami jak np. *Janczy*, *Korfanty*, *Nieorzy* (tj. »nie burz, nie niszczy«) etc. Pomiedzy „Nazwiskami złożonymi rozmaitych typów” znalazły się także niezłożone np. wspomniane już *Gięgotura*, dalej *Obiedwał* (tj. obiadował), *Ćwierćwierz*, co jest tworem reduplikowanym, odmianą gwarową literackiego *cietrzewia* etc. Spomiędzy „Niezrozumiałych” nazwisko *Czauderna* będzie zapewne czeskiego pochodzenia, żeńska forma przymiotnika *czoudrny* »niedbale odziany«, pisanego dawniej przez *au*; nazwisko *Sdukrzest* to może *Żdokrzest*, tj. żdący, czyli czekający krztu, a *Sarowst* to może *Szaroust*?

W przedmowie uprzedza autor, że w zbiorze swoim dał tylko niewiele nazwisk apelatywnych (tj. z imion pospolitych utworzonych) jak *Bąk*, *Kłos*, *Zabłocki* (więc tzw. szlacheckich), patronimicznych jak *Buszkiewicz* — i wielka szkoda, bo przez to ucierpiała zupełność, pierwsza zaleta takiego słownika, który im pełniejszy tym lepszy, a „rozmaitość i bogactwo form naszego języka rodzimego” można pokazać na wybranych przykładach w krótkim szkicu.

Tymi paru uwagami krytycznymi nie chcę oczywiście obniżać wartości cennego zbioru, za który należy się gorąca wdzięczność niestrudzonemu pracownikowi na niwie onomastyki polskiej.

E. Klich

PARĘ UWAG O MAZURZENIU

Dr H. Friedrich w artykule p. t. „Z badań nad mazurzeniem na terenie Mazowsza”¹⁾ wypowiedział interesujący pogląd, że występujące w gwarach polskich „siakanie” tj. wymawianie spółgłoski *ś* wszędzie tam, gdzie w języku literackim mamy *ś* (a więc np. *śtuka*, *śpadel*, *śkoła*), powstało pod wpływem języka kolonistów niemieckich, którzy osiedlając się w różnych okolicach Polski wprowadzali wraz z wyższą kulturą materialną niemieckie nazwy narzędzi i sprzętów gospodarczych. Koloniści ci pochodzili z krajów dolnoniemieckich i wymawiali połączenia *šp*, *št*, *šl* oraz *š* półpalatalnie, z częściowym zmiękczeniem pierwszej spółgłoski, co nasz lud przejął jako *śp*, *śt*, *śl*, *ś*. A ponieważ wyrazów niemieckich z tymi połączeniami jest dość dużo, więc później przerzucono ten sposób wymawiania i na inne pożyczki bez względu na to, skąd one pochodziły, a potem i na wyrazy rdzennie polskie. Stąd za takimi jak: *śpadel*, *śpulka*, *śprycha*, *śtywny*, *burśtynki*, *śtuka*, *śtaba*, *śtachety*, *reśta*, *rymśtyk*, *ślaban*, *ślaga*, *ślak*, *durślak* poszły w gwarach mazurzących i dawne zapożyczenia, a więc: *koła*, *śkoda*, lub też *kaśkiet* (franc. *casquette*), a nawet polskie *śpara*, *śkapą*, *śkop*, *Wyśkuf* (Wyszków) i inne. W ten sam sposób powstały *mašina*, *kośula*, *k'esen*, *śefc*, *paśa*, *Warsawa*.

Dr Friedrich opierając się na dużym materiale gwarowym zebrany z różnych stron Mazowsza stwierdza, że na tym terenie wszystkie podane przez niego wyrazy

¹⁾ Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, zesz. VI, Kraków 1937.

w sumie 67 (z wyjątkiem *paśa* i *Warsawa*) mają zawsze tylko postać z *ś* albo też pod wpływem języka literackiego *š*, skąd wyciąga wniosek, że 1) w gwarach polskich musiały one od początku mieć tylko *ś* w swoim brzmieniu, nigdy zaś nie mogła tu występować spółgłoska *s*, 2) ponieważ formy ze spółgłoską *ś* wytworzyły się pod wpływem języka kolonistów niemieckich, którzy w XVIII i XIX stuleciu masowo się w Polsce osiedlali, więc nie można tego *ś* uważać za nieudolne imitowanie spółgłoski *š* z języka klas wykształconych czyli za głoskę zastępującą dawniejsze *s*.

Hipoteza dra Friedricha co do wpływu języka osadników niemieckich na wytworzenie się w naszych gwarach grup *śp*, *št* oraz *ś* wydaje mi się całkiem prawdopodobną i słuszną, zrozumiałe jest też rozszerzenie się tego *ś* także i na pewną ilość polskich lub dawno zapożyczonych wyrazów. Jednakże wyrazy te istniały jeszcze przed pojawieniem się kolonistów niemieckich w Polsce, a wtedy w gwarach mazurzących musiały one mieć *s* w swym składzie fonetycznym. Potwierdzają to gwary Księstwa Łowickiego²⁾, które pod tym względem przedstawiają typ nieco bardziej archaiczny od dialektów mazowieckich.

W tych wsiach łowickich, które są bardzo oddalone od miast i miasteczek, sły-
szałam zawsze *kosuła*, *masyna*, *skoła*, natomiast we wsiach, gdzie jest od dość dawna bliższy kontakt z miastem, panują powszechnie i wyłącznie formy *kośuła*, *mašina*, *śkoła*. Sami Księżacy są bardzo wrażliwi na te różnice w wymowie i często ludzie z okolic podmiejskich mówili mi o wieśniakach z oddalonych od Łowicza parafij jako o „zakwardziałych” Księżakach, którzy mówią „po starodawnemu”: *kosuła*, *skoła*, natomiast właśnie Złakowiacy, Kocierzewiacy oraz mieszkańcy niektórych wsi powiatu skierniewickiego wyjaśniali, że ich własna mowa jest „prawdziwa”, a formy takie jak *śkoła*, *mašina*, *kośuła*, *kaśel* są nowe i „przewrotne”, powstające pod wpływem języka tzw. „ślachciorzy” tj. nie-Księżaków.

Na całym terytorium Księstwa panuje zdaje się bezwyjątkowo *ś* w wyrazach takich jak *śnurek*, *śneka*, *śpagat*, *śpodel*, *śpulka*, *śtelmach*, *kaśtan*, *reśta* itd., a więc w wyrazach pochodzenia niemieckiego.

Zaznaczyć też muszę, że w większości gwar Księstwa ilość wyrazów z *ś* (*ź*, *ć*) jest stosunkowo bardzo duża. Poza wyżej przytoczonymi występują tam także: *fryśka*, *Łyśkowice* (= Łyszkowice, nazwa osady), *śnica*, *śprycha*, *parśpot*, *iśpanka* (= Hiszpanka), *śtuka*, *śturgać*, *śtywny*, *śtaba*, *śtanga*, *śtrejk*, *śtelisko*, *śtel*, *śp'itol*, *śp'ek* (= szpieg), *śp'ik* (= szpik), *śp'erytus*, *kaśk'et*, *śkapa*, *Śk'ernew'ice*, *ślak*, *ślachta*, *ślachćoś*, *śli*, *pośli* *uwoźliwy*, *źryć* (= żreć) i *zeżar* (= zeżarł), *źwawo*, *podrużny*, *rużny*, *ćtery*||*śtery*; a w pozycji nie po spółgłosce: *arkuśerka*, *bolśew'ik*, *dysel*, *fašina*, *Golaśesk'i* (= Golaszewski, nazwisko), *Kaśupsk'i* (Kaszubski, nazwisko), *k'eseń*, *naśelnik*, *pośo* (= pasza), *śiber*, *śuwaks*, *śabas*, *śelk'i*, *śelma*, *śabla*, *śefc*, *Warsawa*, *naucićelka*, *Pconuf* (= Pszczonów, nazwa wsi), *ćajnik*, *ćort*, *żelazo*, *żaba*, *żandar*, *żobro*, *Żo-*

2) Halina Świdarska: *Dialekt Księstwa Łowickiego*. Warszawa 1929, str. 298, 9.

brośki (= Żebrowski, nazwisko), *żubrownik*, *śpiżarnia*, *kamżelka* || *kam'izelka*. W formach czownikowych zanotowałem: *pśedłużyć*, *polepsić*, *zniścić*, *zmnieścić*³⁾.

Choć naturalnie wszystkich wyrazów polskich „siakanie” nie obejmuje, gdyż nigdzie w Łowickim nie mówią **m'iska* (= miska), **śat* (= sad), *śerwatka* itp., to jednak przyznać należy, że *ś* (*ź*, *ć*) odpowiadające niemieckiemu *š* czy dawnemu *s* (*z*, *c*) są w gwarach łowickich „modne”.

Uzgadniając wywody dra H. Friedricha oparte na materiale mazowieckim z danymi z Łowickiego dochodzę do przekonania, 1) że spółgłoska *ś* z omawianych pozycji musiała się rzeczywiście wytworzyć najpierw w wyrazach obcych przyniesionych do gwar przez przybyszów z obszarów dolnoniemieckich, a potem już objąć siłą inercji pewną ilość zapożyczeń starszych i wyrazów rodzimych, 2) dlatego właśnie, że *ś* często występowało w wyrazach nowych oznaczających nieznanne przedtem lub udoskonalone sprzęty i naczynia gospodarskie, do których odnoszono się przecież z dużym szacunkiem, zaczęto i w samych nazwach to *ś* uważać za coś lepszego, szlachetniejszego w brzmieniu od zwykłego, powszechnego *s* (drogą analogii przeniosło się to na *z* i *c*, którym przeciwstawiono *ź* i *ć*). Z biegiem czasu uznano te nowe *ś*, *ź*, *ć* za bliższe literackim *š*, *ž*, *č*, co zresztą w gruncie rzeczy jest słuszne, bo w rzeczywistości nasze spółgłoski dźwięczne i średniojęzykowe są sobie wzajemnie bliższe pod względem akustycznym, podczas gdy głoski *s*, *z*, *c* bardziej się różnią od nich.

Skoro już w poczuciu mówiących wytworzyło się takie wartościowanie głosek, zaczęto te „lepsze” spółgłoski stosować w szerokim zakresie poza dawne ramy, wskutek czego jednolite zapewne dawniej mazurzenie ulega coraz to znacznieszemu zmąceniu. Prócz „siakania” przyczynia się tu w dużej mierze wpływ języka klas wykształconych. Dla rozwiązania ostatecznego sprawy „siakania” należałoby zbadać inne jeszcze gwary polskie.

Halina Koneczna

JESZCZE O »ETYMOLOGII LUDOWEJ«

(notatki terminologiczne)

Replika.

W nr 7 „Poradnika Językowego” p. H. Fr. wypowiedział na str. 127 swoje zastrzeżenia co do niektórych przykładów, podanych przeze mnie w artykule p. n. „O tzw. etymologii ludowej”.

Wątpliwości zdaje się powstały na tle nieodmówień mego artykułu.

Muszę więc teraz braki uzupełnić, a Panu drowi Fr-owi za zwrócenie na nie uwagi — serdecznie podziękować.

³⁾ Dla łatwiejszego odczytywania podaję wyrazy w pisowni częściowo tylko fonetycznej. Samego materiału nie segreguję, wyliczam kolejno, choć nie wszystkie pozycje mają tu jednakową wartość, np. wyraz *c'ort* a prawdopodobnie i *c'ajn'ik* mogą być rusycyzmami, a wyrazy typu *s'p'ital* zawdzięczają *s'* upodobnieniu do następnej spółgłoski miękkiej.

Dla dokładności polemiczną część wywodów p. Fr-a cytuję dosłownie:

„...*Bronek w cywilu* jako żartobliwe określenie gazu drażniącego jest dość popularny i w Warszawie... Wyraz wygląda na wytwór inteligencki, nie ludowy. Tak samo można powiedzieć o *strzelcu z Celsjuszem*. Ale chyba p. Żebrowski nie sądzi, że to przekształcenie ludowe, bo skądże by się wziął *Celsjusz*?”.

Twórca *strzelca z Celsjuszem* nie może rzeczywiście uchodzić za przedstawiciela ludu. Jest nim bowiem pan podoficer, który wieśniaka nazywa pogardliwie „Jasiem” albo „ciemnym trepem”.

Sam jednak *strzelec z Celsjuszem* nie przestaje być »etymologią ludową«, bo termin ten, jak wiele innych — konwencjonalny, nie oznacza wcale zjawiska językowego spotykanego tylko wśród ludu. Ów pan, który rozprawiał o *sanskrypcie*, „popęłnił” niewątpliwie »etymologię ludową«, chociaż sam w niczym nie jest z ludem związany i ma wyższe wykształcenie. Chłop natomiast spod Miechowa, wypowiadając następujące zdanie: „Kopę ja, *kop* i ty i stąd *kobity*”, dopuścił się tylko »etymologii pseudonaukowej« albo »fantastycznej«.

Materiał do swoich artykułów czerpałem przeważnie ze sfer mieszczańskich, co mnie jeszcze nie upoważniło do utworzenia terminu »etymologia mieszczańska«.

Po tym wyjaśnieniu nie ma już chyba wątpliwości, skąd się wziął *Celsjusz* w »etymologii ludowej« (?) *Celsjusz* bowiem dla podoficera a *Jezus* dla żołnierza, pochodzącego z ludu, jest bezsprzecznie bliższy niż *cenzus*.

Tak samo nie może dziwić fakt, że wieśniacy w wojsku zupełnie dla siebie puste dźwięki (*bromek ksylilu*) zastępują jakimś Bronkiem i wspomnieniami *cywila*.

Znam konkretne wypadki takiej właśnie identyfikacji fonetycznej i za nie tylko mogę ręczyć. Ekspresywny *Bronek w cywilu*, krążący w Warszawie, wydaje mi się zwykłą odtwórczością a nie „wytworem inteligenckim”.

W związku z tym nasuwa się ogólna uwaga, że nie można klasyfikować faktów językowych in abstracto. Ten sam obiektywnie wyraz, choćby ów *Bronek w cywilu* w jednym wykonaniu może być przykładem »zniekształcenia« albo »etymologii ludowej«, a w drugim — znowu »zniekształcenia ekspresywnego« albo »etymologii żartobliwej«.

J. Ż.

* * *

W związku z przykładem: *strzelec z Celsjuszem* muszę podtrzymać swoje zdanie, że dla mnie zastąpienie wyrazu *cenzus* przez *Celsjusz* to objaw świadomego i ekspresywnego „podstawienia” (może nawet dokonanego przez „pana podoficera”); trudno mi dzielić wiarę p. Żebrowskiego, żeby taki podoficer w naiwności ducha i bezwiednie zastąpił sobie w ten sposób wyraz *cenzus*, który w wojsku wcale nie powinien mu być tak znowu obcy. O *cenzusie* mówi się tam dużo w różnych rozkazach, instrukcjach itp. i trudno uwierzyć, żeby dziś zawodowy podoficer nie był zżyty z tym wyrazem.

Bo, że *strzelca z Celsjuszem* nie stworzył prosty „Jaś” ze wsi, na to się p. Żebrowski godzi („Twórca... nie może rzeczywiście uchodzić za przedstawiciela ludu”).

Nie mogę się zgodzić, żeby w zapisanej przez p. Ż. w Lidzie nazwie znanego gazu drażniącego *Bronek w cywilu* nie było „ani źdźbła świadomej ekspresji językowej” (P. J., str. 126). Więc ci żołnierze są aż tak naiwni i sądzą, że ten gaz się tak naprawdę nazywa? I przy nauce o gazach bojowych tak sobie podawany im termin *bromek ksylilu* przekręcają? Czy tu p. Żebrowski nie przesadza — na „niekorzyść” naszych żołnierzy, tak jak poprzednio na „niekorzyść” podoficerów?

Zachodzi w replice p. J. Ż. pewne nieporozumienie. Pisząc, że *Bronek w cywilu* wygląda na wytwór inteligencji, nie ludowy, miałem, rzecz prostą na myśli nie zaliczanie go do tzw. »etymologii ludowej«, bo termin ten od dawna ma znaczenie ogólne, ale słowa p. Żebrowskiego, że tak gaz ten nazywają „żołnierze pochodzący z ludu” (tamże).

Dla mnie przykład ten i tamten z Celsjuszem doskonale „pasują” do zgrabnej rubryki p. Żebrowskiego: *etymologia żartobliwa*.

Zechce mi p. Żebrowski wybaczyć te drobne uwagi, które wynikły z odmiennego zapatrywania na interpretację niektórych przykładów.

H. Fr.

O RYMACH KOBICKICH

Punktem wyjściowym a nieraz nawet jedyną podstawą do rozważań filologicznych o polskiej *kobiecie* był dotąd „Sjem niewieści” Marcina Bielskiego (1586).

Tymczasem użycie *kobiety* u Bielskiego nie jest w XVI w. odosobnione ani najstarsze. Pochodną bowiem formę: *kobietki* spotykamy już w przypisywanej Reyowi „Historii w Landzie” (1568)¹⁾:

„Ano gdyby sie był chciał z mieszkciem obrachować,
Barzo w nim wielkie pustki, mogę rzec, pachnęły.
Bo *kobietki* z kaletki już dawno wymknęły
Wszystki jego pieniądze, co dziadowsko miało,
Których było za młodu sobie nazbierało”.

Kobietka w tym tekście ma ton z lekka ironiczny, ale bardzo daleko jej do pejoratywności. Najstarsze, z obecnie znanych, użycie wyrazu jest więc jeszcze jednym wiaterkim, rozwiewającym legendę o pochodzeniu *kobiety* z najohydniejszych rym-sztoków języka.

Ale to jest tylko dygresja. W podanym urywku z „Historii w Landzie” uderza nas przede wszystkim rym wewnętrzny: *kobietki z kaletki*.

Kaletka, jak wiemy, przywędrowała ze Wschodu (dawn. tur. *qalita*, arab. *charita*

¹⁾ „Historia prawdziwa która sie stała w Landzie, mieście niemieckim, z osobnemi naukami polskim językiem wyprawiona roku pańskiego 1568”. B. P. P. Kraków, 1891, str. 25.

»woreczek na pieniądze«), ale jak wskazują polskie gwary (*kalita*) i sąsiadujące z nami języki (ukr. *kalyta*, białrus., ros. *kalita*, lit. *kolyta*) nie jest to pierwotna forma wyrazu.

Dawniejsza polska postać *kalita* nie mogła się ostać z rzadkim zakończeniem *-ita* i przybrała sobie nowe *-eta*, występujące w wielu wyrazach, zwłaszcza obcego pochodzenia.

Historyczna więc *kalitka* z panującą w gwarach *kobitką* już w „Historii” były wyparte przez *kobietki* z *kaletki*.

W staropolskiej literaturze *kobieta* przeważnie się rymowała z wyrazami o zakończeniu *-eta* pierwotnym. Można tutaj wskazać przykłady z „Sejmu” Bielskiego: *kobietach* — *koletach* (z włos. *colletto*), z Potockiego: *kobietą* — *gnieta*, *kobiecy* — *Grecy*, z „gadki uciechowej”: »pani *Greta* plugawa *kobieta*« albo wreszcie kulawy rym w „Kalendarzu wiecznym”: *księżęty* — *kobiety* ²⁾.

Z tego samego okresu czasu znamy dotąd tylko jeden przykład rymu z *kobitą*, a mianowicie z liryki mieszczańskiej XVII wieku ³⁾.

Prof. Brückner o tym wypadku mówi: „W kiermaszu może po raz pierwszy *kobieta* rzeczona bez uszczypliwości: »co jest chłop *wyśmienity*, szanuje swoje *kobiety*«” ⁴⁾.

Kobieta bez uszczypliwości nie jest osobiliwością. Warto natomiast zauważyć, że skoro mamy w tym wierszu *wyśmienity*, to chyba także i *kobity*?

Oczywiście, że z tak skąpej ilości faktów nie można wysnuwać szerszych wniosków.

Nie znamy jeszcze przecie z przełomu XVI i XVII wieku źródeł form: *kupita* i *Kubitkowski*, o których nam tajemniczo prawi, nie znoszący pedanterii, prof. Brückner ⁵⁾.

Na razie z dotychczasowych materiałów widać, że w tekstach literackich XVI i XVII wieku wybitnie przeważają rymy z *kobietą*.

Jeszcze w „Myszeis” (1775) słynny dwuwiersz:

„Mimo tak wielkie płci naszej zalety,
My rządźmy światem, a nami *kobiety*”

wskazuje na rym z *e*. W związku z tym cytatem dopisek wydawcy „Urywków języka Ignacego Krasickiego... ⁶⁾: „na pewno *kobiety*, może i *zaléty*” wydaje mi się zbyt pewny siebie i mało prawdopodobny.

²⁾ Źródła cytatów są podane w artykule p. n. „Historia użyc wyrazu *kobieta*”. Poradnik Językowy 1937/8, str. 71—75.

³⁾ Dr Karol Bądecki. Polska liryka mieszczańska. Lwów, 1936, str. 68.

⁴⁾ Pamiętnik Literacki XXXIV. Lwów 1937, str. 365/6.

⁵⁾ Na swoje pytanie listowne, gdzie trzeba szukać *kupity* i *Kubitkowskiego*, otrzymałem od prof. Brücknera dosłownie taką odpowiedź: „Formy *kupita* nie brałem na serio”.

⁶⁾ „...według pierwszych druków” Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego Nr 11, Kraków 1938, str. 17.

Oboczność fonetyczna *kob'ita* // *kob'eta* mogła być wykorzystywana rymowo.

Wiek XIX sprzyjał tylko *kobicie* (która przez fałszywą analogię, a więc bez uzasadnienia historycznego, została wciągnięta w krąg wyrazów o tzw. *é* pochylonym).

Najlepiej o tym świadczy fakt, że na początku XIX wieku protestowano przeciwko rymom: *kobicie* — *idziecie*, a zalecano *kobicie* — *robicie*⁷⁾. Słowacki np. w „Królu Duchu” tylko *kobiętę* rymował (9 razy), a ani razu *kobietę*, ale ta sama proporcja odnosi się i do *świécy* // *świecy*.

Ciekawsze wyniki daje przegląd utworów z drugiej połowy XVIII wieku. W rozpatrzonych przykładowo dwu rękopisach komedii Fr. Zabłockiego: „Małżonkowie pojednani czyli przesąd modny” i „Mężowie poprawieni przez swoje żony”⁸⁾ na ogólną ilość użyć wyrazu *kobieta* (43) — większość, bo 28 przypada na postać *kobita*, z czego 8 przykładów jest w pozycji rymowo obojętnej, a 20 — zależnej, czyli rymowo wykorzystanych. *Kobieta* zaś odwrotnie: 13 w pozycji obojętnej, a tylko 2 — w zależnej: *kobiety* — *zalety*, *kobiety* — *karety*.

Charakterystyczne, że wyraz *kob'ety*, rymujący się z *karety*, został w rękopisie starannie przerobiony z omyłkowo napisanego *kobity*.

W takie subtelności nie wdawał się później wydawca dzieł Zabłockiego, F. S. Dmochowski⁹⁾, który *i* kobiekie przerabiał nie tylko na *ié*, ale także na *ie* (!), niwecząc w ten sposób niektóre rymy oryginału.

Fakt przeszedł do historii, ale jest godny przypomnienia, bo swawola Dmochowskiego dzisiaj łatwiej jeszcze niż w XIX wieku może znajdować naśladowców.

Jerzy Żebrowski

OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

P. Em. zwraca uwagę, że od pewnego czasu wyraz *ważki* chce wyrugować wyraz *ważny* i dodaje, że osobiście odczuwa wyraz *ważki* jako mocniejszy, a nie jednoznaczny.

W tym wypadku chodzi o odcień znaczeniowy; ale i odcienie znaczeniowe wyrazów nie są błahostką i uświadamianie ich sobie mąci jednostajność szarej powierzchni spowszedniałego języka, wywołuje na niej grę barw, otwiera w niej perspektywy.

Pod względem historycznym wyrazy *ważki* i *ważny* były to prawie synonimy ponieważ obydwa przymiotniki wywodzą się od tematu czasownika *ważyć*. Ten temat był przekształcony na przymiotnik z pomocą przyrostka *-k-* w wyrazie *ważki* i z pomocą przyrostka *-n-* w wyrazie *ważny*. Między funkcjami znaczeniowymi obu przyrostków zachodziły pewne podobieństwa, widoczne w takich formacjach, jak na przykład *chwytki* z jednej strony, a *bitny* z drugiej: *chwytki* to ktoś skłonny do chwy-

⁷⁾ Jan Łoś. Wiersze polskie w rozwoju dziejowym. Str. 472.

⁸⁾ Oba rękopisy znajdują się w Bibliotece Narodowej w Warszawie (Pol. Q. XIV. 10).

⁹⁾ Dzieła Franciszka Zabłockiego. Warszawa 1830.

tania, dobrze chwytający, *bitny* to ktoś skłonny do bicia się, dobrze się bijący. Jak widać, czy w połączeniu z tematem czasownikowym użyjemy elementu *-k-* czy elementu *-n-*, rezultat jest podobny. Zresztą obok *chwytki* jest i przymiotnik *chwytny*, znaczący mniej więcej to samo (np. *chwytny chart*, — który dobrze chwytą). Można by dodać, że i *chytry* znaczące dzisiaj tyleż co »przebiegły« znaczyło kiedyś »ten, co ma skłonność do chwytania« (formy *chwyt-* : *chyt-* wymieniały się), to znaczy, że i przyrostek *-r-*, gdy tworzył przymiotniki od czasowników, miał w nich znaczenie podobne do tamtych dwu przyrostków.

Do dziś dnia wyraz *chytry* ma po wsiach znaczenie »chciwy«: jest to archaizm tłumaczący się tym, że *chytry* to historycznie tyleż co *chwytki* lub *chwytny* — czyli ten, co ma skłonność do chwytania, a stąd łapczywy, chciwy, a potem już wtórnice przebiegły (*chytry* = chciwy zaświadczone jest u Żeromskiego w *Syzyfowych pracach*, gdzie ktoś mówi o sobie: „że ja taki do spania chytry” — czyli taki łapczywy na spanie: tu właśnie występuje odcień znaczeniowy zbliżony do »przebiegły«).

Zarówno *ważny* jak *ważki* znaczyło historycznie: »ten, który waży, ma wagę«. Dziś wyraz *ważny* w znaczeniu »mający pewną wagę fizyczną, ważący coś fizycznie« nie bywa używany, dawniej natomiast się to zdarzało. Na przykład u Birkowskiego, kaznodziei XVII wieku, znajdujemy zdanie: „Widzicie tę szablę, jaka *ważna*, która u niego jak pióro latała w ręku” — a mowa tu o szabli *ciężkiej*.

Podobny odcień ma tenże przymiotnik w wierszu Asnyka: „Zbierają *ważne* i czyste ziarno w omłocie boskich oczyszczeń” albo u Sienkiewicza: „zebrałem dukatów *ważnych* trzysta”.

Już od dawna przymiotnik *ważny* używany jest w znaczeniu niefizycznym, wtórnym, przenośnym »mający wielkie znaczenie, doniosły«. W ten sposób rozumiał ten wyraz Kochanowski w zdaniu: „Tom ja pisał na siostry miłej swej żądanie, które u mnie tak *ważne* jako rozkazanie”. Tak samo u Brodzińskiego: „dusza była pełna *ważnych* myśli”. Gdy mowa o myślach, to oczywiście znaczenie fizyczne jest niemożliwe, chodzić może tylko o myśli doniosłe, mające wielkie znaczenie.

Jak widzimy, w przymiotniku *ważny* dawne znaczenie konkretne ustąpiło miejsca abstrakcyjnemu, oderwanemu, i to właśnie częściowo pozbawiło ten przymiotnik wyrazistości i plastyczności zmysłowej. Wyraz *ważki* lepiej zachował pierwotne znaczenie fizyczne, np. gdy się mówi o rzeczach nieważkich, to się ma na myśli tak zwane *imponderabilia* czyli rzeczy pozbawione wagi fizycznej. Jeżeli ktoś, chcąc powiedzieć, że rzecz jakaś jest pełna znaczenia, ogląda się jednocześnie za metaforą, za określeniem, które by zawierało w sobie jakiś żywy obraz, plastyczne porównanie, to pod wpływem tego właśnie impulsu może się posłużyć wyrazem *ważki*, jeszcze przechowującym dawne znaczenie fizyczne, raczej niż wyrazem *ważny*, w którym ten pierwotny znaczeniowy już całkowicie zwietrzał. Pogoń za zmysłową żywością obrazów z wielką siłą przejawia się we wszystkich językach i stanowi jeden z czynników powodujących ciągłe odnawianie się środków ekspresji. Każda rzecz, *nowa* w pewnej chwili, z czasem przestaje nią być, traci barwy, świeżość, a przez to i powab dla mówiących, cofa się, zapada w niepamięć, ginie. Nadchodząca ulega z kolei temu

samemu losowi. Jest jakiś sens w tym wszystkim, ale prześwituje on dopiero gdzieś na krańcach naszych widnokręgów myślowych i historycznych, toteż tylko uporczywie się wpatrując we wszystkie dziedziny życia języka można dochodzić do coraz pełniejszego rozumienia poszczególnych faktów, poszczególnych wydarzeń tego życia.

Oto znowu zjawia się sposobność poruszenia spraw pisowniowych, bo wysuwa je pewna korespondentka, nauczycielka, która stwierdza, choć jest to nieco dziwne, że nie wie, jak zastosować obowiązujące przepisy ortograficzne w zdaniu: „Gdybym była na miejscu górnika, to w niedzielę nie poszłabym do kopalni”. *Poszłabym* oczywiście pisze się łącznie, bo to jest przecież forma osobowa czasownika. Co do owego *by* po formach czasownikowych można mieć jedną wątpliwość, która w przepisach nie jest z całą jasnością ujęta — i dlatego też o tej sprawie w ogóle wspominam. Ta wątpliwość może dotyczyć wypadków takich jak *należałoby*, *wypadałoby*, *chciałoby się* i podobnych. Ściśle biorąc, nie są to formy osobowe, występują one właśnie w zdaniach tzw. bezosobowych, więc można by tak interpretować przepis, że *by* w tych wypadkach pisze się oddzielnie od poprzedzającej formy czasownikowej. Ale w takim razie powstałyby kłopoty z tym, że na przykład w zdaniu: *to należałoby uwzględnić* — *należałoby* pisałoby się rozdzielnie, bo zdanie jest bezosobowe a wyraz *to* jest w bierniku. Natomiast w zdaniu *to należałoby do naszych zadań*, w którym jest podmiot, a mianowicie zaimek *to*, *należałoby* byłoby zwykłą formą osobową czasownika wymagającą zgodnie z przepisem pisowni łącznej. Zatem raz *należałoby* pisałoby się łącznie a raz rozdzielnie, a przeciw takiej podwójności, która by ostatecznie nie była niczym osobliwym, większość osób się buntuje. Wobec tego sądzę, że lepiej przepis interpretować inaczej: *należałoby* bywa wprawdzie używane w funkcji nieosobowej, ale zewnętrznie ma taką samą postać jak rodzaj nijaki formy osobowej i wobec tego pisze się łącznie. Taką też pisownię najczęściej się widzi.

Pan S. z Warszawy porusza sprawę dość szerzących się w czasach ostatnich zwrotów „*w Litwie, w Łotwie, do Litwy, do Łotwy*” zamiast tradycyjnych *na Litwie, na Łotwie, na Litwę, na Łotwę*. Są tu dwie rzeczy: 1) polska tradycja językowa, 2) sposób, w jaki te zwroty bywają odczuwane przez mieszkańców Litwy i Łotwy. Co do kwestii pierwszej, to były już z polskiej nawet strony czynione próby wykazania, że zwrot *na Litwie* nie opiera się na tradycji wyłącznej i niezachwianej, u Mickiewicza na przykład czytamy: „słynie szeroko w Litwie Dobrzyński zaścianek”. Inna rzecz, że w tym wypadku po pierwsze sprawa wiersza mogła nie być obojętna, po drugie wyraz *Litwa* nie był tu użyty w każdym razie w znaczeniu państwowym, tylko w znaczeniu pewnego obszaru — tak jak *w Kieleckim, w Poznańskim*.

Nie wchodząc w szczegóły tradycji polskiej, możemy poprzestać na stwierdzeniu, że w polszczyźnie kulturalnej wieku XX zwroty *na Litwie, na Łotwie* niewątpliwie dominują i są utrwalone. Historycznie przyimek *na* występował w połączeniu z nazwami prowincji raczej niż państw: raczej, bo rzecz nie była bezwyjątkowa, zawsze się mówiło i mówi *na Węgrzech* — i nikt w związku z tym nie wysuwa żadnych

zastrzeżeń. Zwraca uwagę, że przyimka *na* używa się w takich połączeniach jak *na Lubelszczyźnie*, *na Wileńszczyźnie*, *na Witebszczyźnie* — a więc w wypadkach, gdy chodzi o ziemie wschodnie, a w szczególności ziemie dawnego Księstwa Litewskiego oznaczane nazwami na *-izna* nigdy nie stosowanymi do ziem Polski centralnej i zachodniej: nie ma *Warszawszczyzny*, ani *Krakowszczyzny* czy *Poznańszczyzny*. I znów jednak owo *na* nie jest bezwyjątkowo związane z ziemiami dawnego Wielkiego Księstwa, bo z jednej strony mówi się *na Mazowszu* i *na Pomorzu*, a z drugiej: *w Mińszczyźnie*, *w Kijowszczyźnie*. Czy mamy się martwić, że jest taka różnorodność? Chyba nie, ta różnorodność to jednocześnie i barwność. Język w swojej historii posuwa się, jak to się mówi, *hon pari passu* — nierównym krokiem, nie jednolitym frontem, ale licznymi zagonami, wyrывая się miejscami naprzód, miejscami się opóźniając, unieruchamiając.

Na Podlasiu nazywają *Litwą* mieszkańców prawego brzegu Bugu.

Czyż będziemy wyświecać tę nazwę dlatego, że jest ona dziś nieusprawiedliwiona? Otóż jeżeli nas w tym wypadku nie razi używanie nazwy obcej ani narodowo, ani geograficznie, ani politycznie w dzisiejszym stanie rzeczy nie uzasadnionej, to czemuż miałby razić naszych sąsiadów fakt, że mówiąc o ich państwach i krajach używamy przyimka *na*, bo w historii naszego języka taka jest żywa tradycja. Przyimka o zakresie, jak widzieliśmy, nieco chwiejnym. Mowy przecież nie może być o tym, jakoby temu użyciu miały odpowiadać jakieś uczucia zaborcze czy też najmniejsza choćby chęć kwestionowania pełnowartościowości państwowej i kulturalnej krajów, o których mówiąc stosujemy przyimek *na* — po prostu dlatego, że używa się tego przyimka w sposób zupełnie mechaniczny. Znam autentyczny wypadek, gdy w pewnym żeńskim zakładzie wychowawczym zakazano pensjonariuszkom używania wyrazu *jasiek* na oznaczenie małej poduszcзки, a to w tym celu, aby zapobiec nieodpowiednim skojarzeniom myślowym: *jaśka* urzędowo zastąpiono *jadwigą*. Trudno ten pedagogiczny zabieg uznać za szczęśliwy, bo dopiero zmuszenie do zastanawiania się nad etymologią wyrazu, o której mówiąc nikt nie myśli, może wywołać, nawet musi wywołać, osobliwe — i językowo już wynaturzone, bo nie samorzutne — reakcje.

Tak samo wynaturzeniem intencji mówiących po polsku jest podejrzewanie ich o to, że używając przyimka *na* dają wyraz jakiejś szczególnej postawie wobec krajów, o których mówią. Ma się tu po prostu do czynienia z pewnym objawem tradycji językowej, zwyczaju językowego.

To, co w tej chwili mówię, ma na celu jedno: wyjaśnienie, że nikt postronny nie powinien źle interpretować pobudek Polaków używających przyimka *na* w połączeniu z nazwami niektórych państw. Czy ten ktoś postronny ma w ogóle powód do reagowania? Nie sędzę, bo jest to językowa sprawa polska. Litwini nazywają Polskę *Leukija*, a Łotysze Rosję — *Krevija*: jakkolwiek by nazywali, jest to ich rzecz, tłumacząca się historią ich języków, za których niezależnością, suwerennością mają całkowite prawo obstawiać.

W języku francuskim jest nieco nieprzyjemne dla nas przysłowie: „saoul comme

un Polonais" — pijany jak Polak. Czy jest do pomyślenia jakaś nasza interwencja w tej sprawie, jakieś zabiegi o to, żeby Francuzi dali spokój używaniu tego zwrotu? Pytanie jest czysto retoryczne, bo jedynym wynikiem takich zabiegów mogłoby być tylko ośmieszenie się — i oczywiście rozreklamowanie przysłowia.

Sprawy dotyczące form i zwrotów języka polskiego rozstrzygać się mogą tylko na gruncie i w granicach tegoż języka, a nie gdzieś na zewnątrz.

Z tego samego względu — sięgając po inny przykład, poruszony niedawno w liście pewnej korespondentki, oczywiście stwierdzimy, że jeżeli od wieków pewien kraj nazywamy Włochami, to ta nazwa, — razem z najlepszymi uczuciami, jakie w Polakach budziła — należy do tradycji językowej polskiej i tym samym jest „eksterytorialna” w stosunku do wszelkich czynników zewnętrznych. I tak samo jest z każdym innym faktem z dziedziny języka polskiego. Fakt faktowi nie równy, niektóre są drobne, do takich może kto zaliczać i ów przymek *na* w tych czy innych zwrotach, ale przy sposobności i drobnych nawet faktów warto uprzytomnić sobie rzeczy ogólne.

Pan G. L. z Nieświeża zapytuje, czy poprawne jest wyrażenie *otwarła* okno zamiast *otworzyła* — i sądzi, że jest to forma, która się nie powinna przyjąć, szczególnie zaś rażąca miałyby być forma męska *otwarł*. Otóż mamy tu do czynienia nie z formą nową, która dopiero zaczyna się szerzyć, ale przeciwnie, z formą starszą, stopniowo raczej wychodzącą z użycia.

Imiesłów *otworzył* (dziś traktowany jako po prostu forma czasu przeszłego) odpowiada bezokolicznikowi *otworzyć*, natomiast *otwarł* — to forma odpowiadająca bezokolicznikowi *odewrzeć* (dawniej *otewrzyć*). Z tym można porównać formy *umarł* — *umrzeć*, *zawarł* — *zawrzeć*, *podarł* — *podrzeć*. Formy *umarł*, *zawarł*, *podarł* są w powszechnym użyciu, a więc i *otwarł* samo przez się nie jest formą złą. Co do jej historii, to spotykamy ją na przykład u Skargi, który pisał o filozofach, co „bezpiecznie na chrześcijan gębę otwarli”, u Słowackiego: „I znów się łono piaskowe otwarło i pochowałem matkę martwych zmarłą”. Z pisarzy dzisiejszych formy tej używają: Sieroszewski: „Otwarł się widok na łąki”, Nowakowski: „Znowu otwarłem oczy” i inni. *Otworzył* jest niewątpliwie formą lepiej sytuowaną życiowo w języku dzisiejszym, dlatego między innymi, że ta forma ma oparcie w bezokoliczniku *otworzyć*, podczas gdy *otwarł* wisi niejako w próżni, jest formą sierocą, ponieważ *odewrzeć* nikt już prawie nie mówi (a *otewrzyć* z bezdźwięcznym *t* już od wieków wyszło z użycia), a zresztą stosunek *otwarł* : *odewrzeć* nie tłumaczy się sam przez się. Od bezokolicznika *otworzyć* każdy uformuje czas przeszły w postaci *otworzył*, ale że od *umrzeć* jest *umarł*, to trzeba wiedzieć, bo jest to forma szczególnie tłumacząca się czynnikami historycznymi. To wszystko powoduje, że forma *otwarł*, do której nie dopływają soki życiowe od form innych, zaczyna jakby schnąć i stopniowo się zacierać w pamięci mówiących. Pod powierzchnią życia językowego jest wiele na pierwszy rzut oka niewidocznych włókien, tworzących złożoną sieć kanalików, którymi płyną nieustannie siły kształtujące zewnętrzną „topografię” języka. Gra tych sił to zawsze, nawet w wypadkach, gdy idzie o fakty drobne, interesujące widowisko.

Tenże korespondent zapytuje o formę *pachnęło*, którą uważa za gorszą od *pachniało*. W dzisiejszym języku polskim spotykamy aż trzy formy czasownika *pachnąć* (*pachnieć*), budzące u różnych osób różne reakcje, a mianowicie *pachnęło*, *pachniało* i *pachło*. Formę *pachło*, rażącą w Warszawie, spotyka się w okolicach wschodnich, a jest ona zaświadczona i w literaturze, np. u Konopnickiej: „Z rozkwieconych lip pachły miody”, u Kraszewskiego: „Pachło mu to, co ojcu i bratu”.

Szober w swym *Słowniku ortoepicznym* żadnej z wymienionych trzech form nie uważa za złą i zaznacza tylko, że formy *pachła*, *pachło*, *pachli* używane są rzadziej niż inne. Z tych form pozostałych spotykamy *pachniało* na przykład u Sienkiewicza: „Siarką od nich w izbie pachniało”, u Dąbrowskiej: „Ciastka pachniały rumem”, u tejże autorki: „Pachniało deszczem”, u Kuncewiczowej: „Pachniało macierzanką”. u Choynowskiego: „Pachniało tu czystością i zdrowiem” — *pachnęło* mamy na przykład u Weyssenhofa: „Jezioro pachnęło”.

Spośród wymienionych form nieco trudno byłoby polecać formę *pachło*, z tego głównie względu, że charakteryzuje ją brak przyrostka *-ną-*, w którego opuszczaniu czasem się przesadza: razi na przykład, gdy się posłyszysz w przemówieniu publicznym lub przeczyta w drukowanym tekście: „oni *wyciągli*” zamiast *wyciągnęli*, albo nawet *zapragła* zamiast *zapagnęła*. Dla niedodawania towarzystwa tym niewątpliwie rażącym formom lepiej ograniczyć możliwość wyboru do alternatywy *pachnęło* — *pachniało*. W każdym razie imiesłów współczesny ma zawsze postać *pachnący*, nie *pachniący*.

W. D.

CO PISZĄ O JĘZYKU?

Jak ostatnio wspominaliśmy, p. prof. B. Winiarski wystąpił w obronie ł przedniojęzykowego. Zawiązała się polemika, w której wzięli udział językoznawcy. Poza głosami już cytowanymi poznamy czytelników z artykułami p. Fr. Kowalskiego i prof. E. Klicha.

P. Fr. Kowalski („Czystość języka polskiego”, „Orędownik”, 22.II) na poparcie argumentów prof. Winiarskiego przytacza fakt, że gdzieś zobaczył tablicę z napisem *Do Łosieka* zamiast *Do Osieka*. Wspomina również p. Kowalski o innych błędach, które „kłóją (!) w uszy miłośnika języka polskiego”. Przytoczmy jeden z tych błędów:

„Dziś często spotyka się wyrażenie „mimo dobre chęci” zamiast „mimo dobrych chęci”. Błąd oczywisty, bo *mimo* jest przyimkiem i rządzi 2 przypadkiem”.

P. miłośnik Fr. Kowalski nigdy zapewne nie używa zwrotów *mimo to*, *mimo wszystko* itd., oraz do słowników języka polskiego nie często zagląda. A szkoda, że względu choćby na jego czytelników...

Prof. E. Klich w artykule „Głoski skazane na zagładę” („Dziennik Poznański”, 22.II) wyjaśnia rzeczowo istotę popełnionych przez prof. Winiarskiego błędów, podkreślając, że walka o owe „piękne ł” jest bezużyteczna i bezcelowa, nie można bowiem cofnąć ewolucji fonetycznej. Zwraca również autor uwagę na niezgodne z rzeczywistością twierdzenie p. Winiarskiego, iż dźwięk ł jest znamienny dla naszej mowy a inne języki są go pozbawione. W wielu bowiem językach słowiańskich i niesłowiańskich

ów dźwięk spotykamy. W zakończeniu prof. Klich proponuje energię miłośniczą zwrócić w innym, bardziej dla języka pożytecznym kierunku.

P. Winiarski odpowiadając na zarzuty („Ł — dźwięk i znak” w „Kurierze Poznańskim”, 5.III) oświadczył, iż przestudiował, idąc za radą dra Tomaszewskiego, odpowiednie prace językoznawcze, ale niestety, nie został przekonany, a przeciwnie, utwierdził się w swych poglądach. Zarzuty prof. Klicha wyrobiły zaś w nim pokrzepiające przekonanie, dające się wyrazić słowami: „Jowiszu gniewasz się, więc pewnie nie masz racji...”

W „Kurierze Poznańskim” przeciw naleciałościom obcym w prasie codziennej występuje w dwu kolejnych artykułach p. S. Pieńkowski („Strąsydła mowy”, 26.II i „Niecne pisarstwo”, 5.III) przytaczając dziwolągi jak *persyflaż*, *beligerent*, *petryfikować*, *fortwurstlować* itp. lub cytując zdania z artykułów, świadczące o zupełnej nieznajomości polskiej składni przejawiającej się u wielu dziennikarzy.

„Gazeta Pomorska” omawia obszernie (12.III) tom drugi Studiów Gdańskich, „Język polski w dawnych szkołach gdańskich” pióra dra W. Pniewskiego. Dr Pniewski szczegółowo zbadał dzieje, pozycję i znaczenie języka polskiego w Gdańsku uwypatniając, że z całej historii Gdańska przebija wyraźnie, udowodniona zresztą licznymi dokumentami, wybitna rola kulturalna polszczyzny. Fakty i cytaty z dzieł historyków gdańskich i niemieckich, licznie przytoczone w dziele dra Pniewskiego, obalają twierdzenie o rzekomym czysto niemieckim charakterze dawnego Gdańska.

„Język Polski”, dwumiesięcznik Tow. Miłośników Języka Polskiego pod red. prof. K. Nitscha. R. XXIV, zeszyt 1, zawiera: W. Taszyckiego — „Nazwy miejscowe kulturalne” (o nazwach typu: „*Lgota*, *Wola*, *Ujazd*, *Pobiedziska*”). K. Budzyska — „Jeszcze w sprawie neologizmów w literaturze” (na przykładach Orkana). H. Grappina — „Na marginesie artykułu o dopełniaczu w funkcji okolicznika sposobu”, z odpowiedzią H. Safarewiczowej. H. Ułaszyna — „Prasłowiański język biskupiński” (z wykazaniem źródeł utworu M. Bechczyc-Rudnickiej). H. Ułaszyna — „Wawel — na Wawelu”. Recenzje: o „Szkicach z dziejów rozwoju i kultury języka polskiego” T. Lehra-Spławińskiego, o „Języku polskim w szkołach gdańskich” W. Pniewskiego, o „Biuletynie Pol. Tow. Językoznawczego” (zesz. 7) i in. Odpowiedzi Redakcji: Czy można odmieniać „*Helsinki*”? „*Destylacja*” czy „*dystylacja*”? Sprawy T. M. J. P.

W. G.

REDAKTOR: PROF. WITOLD DOROSZEWSKI

KOMITET REDAKCYJNY: DR HENRYK FRIEDRICH, DR HALINA KONECZNA, PROF. STANISŁAW SŁOŃSKI, DR JÓZEF TARNACKI.

WYDAWCA W IMIENIU ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO
STANISŁAW KWIATKOWSKI

INFORMACJE OGÓLNE

Spisy błędnych i mniej właściwych zwrotów języka, używanego w biurach i urzędach można nabywać w Księgarni M. Arcta w Warszawie, Nowy Świat 35. Spis nr. 1 (w drugim i trzecim wydaniu) i Spis nr. 2 i 3 — zeszyt po gr 30 (z przesyłką gr 40). Należność prosimy przysyłać w znaczkach pocztowych przy zamówieniu. Dla biur — w większych ilościach — ustępstwa.

W Redakcji Poradnika Językowego (Smulikowskiego 4) można zamawiać dawne roczniki „Poradnika”: 1903, 04, 07, 09, 23, 25, 26, 29, 31 (krakowskie) i nowsze 1932, 33, 34 (warszawskie). Odstępujemy je po cenach następujących: roczniki do roku 1923 po 0,50 zł, 25 do 31 po 1 zł, 32 — 34 po 2,50 zł. Za komplet roczników (1903 — 31) — 6 zł, za komplet 12 roczników (1903 — 34) — 13 zł. Roczники od roku 1935 dostarcza Administracja (Smulikowskiego 4). Przy pojedynczych tomach doliczamy koszty pocztowe, przy większej liczbie — nie. Luźnymi zeszytami służymy po 30 gr, z roku 1935 i 35/36 po 50 gr.

Pozostałe egzemplarze pracy ś.p. Red. Romana Zawilińskiego p.t. „Dobór wyrazów” zostały powierzone do sprzedaży „Naszej Księgarni”, Warszawa, Świętokrzyska 18. Pierwotną cenę zł 30.— zniżono obecnie do zł 10.—.

Reklamacje co do nieotrzymania zeszytów prosimy przysyłać do Administracji najpóźniej z nadejściem następnego zeszytu. Przy reklamowaniu po upływie całych miesięcy żadne sprawdzenie nie jest możliwe i dlatego takie zeszyty będziemy doliczać osobno. Każdą zmianę adresu prosimy podać do wiadomości Administracji. Wszelkie wpłaty kierować należy do Administracji (P. K. O. 6880).

Na zapytania dotyczące poprawności języka na ogół odpowiadamy w najbliższym zeszycie; na żądanie — listownie za nadesłaniem znaczka pocztowego. Wszyscy zapytujący zechcą podawać swoje adresy, nie każde bowiem zapytanie nadaje się do roztrząsania w druku, bo nie każde zaciekawia ogół czytelników, — zresztą i powtarzać się nie możemy. Bez adresu tedy, zapytanie takie musi pozostać bez odpowiedzi. Zapytania podpisywać można inicjałami. Kierować je należy do istniejącej przy T-stwie Poradni Językowej.

Prenumeratorzy, którzy, opłaciwszy pismo, mimo to otrzymują w zeszytach blankiety na PKO, zechcą nie uważać tego za przynaglanie do zapłaty, blankiety co pewien czas wkłada się do wszystkich zeszytów, — indywidualizowanie byłoby przy wysyłce zbyt trudne.

Redakcja zastrzega sobie prawo wprowadzania do nadsyłanych artykułów drobnych zmian i skrótów bez odwoływania się do autorów.

Czasopismem dozwolonym przez Ministerstwo W. R. i O. P. dla młodzieży szkół zawodowych doksztalających, gimnazjów zawodowych, gimnazjów ogólnokształcących oraz starszych klas szkół powszechnych jest tygodnik:

MŁODY ZAWODOWIEC

Tygodnik ten bogato ilustrowany, o objętości 16 stronici druku dużego formatu podaje wiadomości z zakresu postępu techniki, przemysłu, rzemiosła, handlu, komunikacji i lotnictwa oraz omawia godne uwagi wynalazki, odkrycia naukowe i zagadnienia gospodarcze.

MŁODY ZAWODOWIEC

JEST NIEZBĘDNA LEKTURĄ DLA MŁODZIEŻY

Prenumerata wynosi miesięcznie 60 gr, półrocznie 3 zł, rocznie 5 zł 50 gr. Pojedyncze numery są do nabycia w kioskach gazetowych w cenie 30 gr. Szkoły prenumerujące „Młodego Zawodowca” zbiorowo, otrzymują bezpłatnie po 1 egzemplarzu na każde 5 egzemplarzy prenumerowanych.

Zamówienia prenumeraty załatwia Wydział Wydawniczy Z.N.P.
WARSAWA 1, SMULIKOWSKIEGO 4.

Konto w P. K. O. nr 6880.